

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 43. Warszawa, dnia 16 (28) Października 1875 roku. Rok 11.

CENA PRENUMERATY		OPIEKUN DOMOWY	Skład Główny
Warszaw. z odn. do domu	na prow. w Cesar. i Królest.	wychodzi raz na tydzień, we Czwartek	Skład Główny w Warszawie, w księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Świat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego, *w Wilnie* u J. Zawadzkiego.
rocznie . . . . . rs. 6 k. „	rocznie . . . . . rs. 8 k. —	REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT	
półrocznie . . . „ 3 „ „	półrocznie . . . „ 4 —	NR. 72 NOWY.	
kwartalnie. . . „ 1 „ 50	w Austryi roczn. 14 guld.		
miesięcznie. . . „ „ 50	w Prusach „ 24 marek.		NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

DŁUGIE WIECZORY.

Cóż łatwiejszego jak na wsi a zwłaszcza w małem miasteczku posłyszeć narzekania na długie jesienne i dłuższe jeszcze zimowe wieczory?.. Cóż łatwiejszego jak spotkać się tam z iście komicznem zakłopotaniem, co zrobić z czasem gdy o 4-tej zmierzch się zaczyna?.. Sąsiadów trudno co dnia odwiedzać, gości co dzień przyjmować nie podobna, a jednak... *czas czemś zabić potrzeba, aby się na śmierć nie zanudzić....*

Nie wiem na pewno, w każdym jednak razie nie bardzo się z prawdą rozminę gdy powiem, że ze zjawiskiem o jakiem mowa u nas tylko tak często spotkać się można, że nigdzie bodaj indziej nad potrzebą tego rodzaju, ludzie już sobie tak bardzo nie łamią głowy.

Smutne to, bardzo smutne doprawdy!

Czas to pieniądz, powiada przysłowie, my otóż nie znamy się widocznie na wartości czasu a więc i wartości pracy, wartości grosza nie znamy. A cóż znowu w takim razie tak bardzo dziwnego, że gdy na rodzinnej ziemi naszej, bogacą się obcy przybysze, my stojąc z założonemi rękoma, podziwiając, zazdroszcząc, stękając, w przystępie czarnych myśli żałując nawet, żeśmy się nie urodzili niemcami lub żydami, codzień się w większą materyjalną pogrążamy ruinę?...

Skutek tu jest tylko koniecznem następstwem przyczyny. Zajrzyjmyż bo do wiejskiego dworku o szarej godzinie. Cichutko jak makiem zasiał, wszyscy bowiem, starszyzna i młodzież po dziennych trudach i smacznym objadku, błogiego o tej porze używają wywczasu. Ale szara godzina minęła i zapalono światła... Zegar szóstą dopiero wskazuje, zatem do 10-ej czyli do chwili w której pani domu pożądane „czas iść spać“ wygłosi, pozostaje jeszcze godzin cztery.

Cztery codziennie godziny to nie bagatela, cóż się więc przez ten czas robi i jak go się „zabija..“

Ha, pan domu gdy nie dopisał ksiądz proboszcz lub podleśny, *sąsiad minorum gentium*, ale w tym razie pożądany nad wyraz, i gdy tym sposobem partyjki złożyć nie można, zły jak „wszyscy dyjabli;“ kręci się, zrzędzi a nareszcie rzuca się z fajką w ustach na sofę i drzemiąc wyczekuje chwili w której znowu... spać się położy.

Młodsze pokolenie porozrzucane po kątach w podobny sposób wyczekuje owej błogosławionej chwili a wyjątek stanowi jedna tylko pani domu, z musu niejako dla dobrego przykładu służby, ślęcząca nad robótką, ale coraz częściej pożądliwie spoglądająca także na zegar, który jednak jak na złość *dziś*, wolniej jakoś chodzi jak zwykle..

Po małych miasteczkach dzieje się jeszcze gorzej. Tu długie wieczory zamiast kojarzyć, zamiast ożywiać zabijają i tak bardzo w ogóle słabo rozwinięte życie towarzyskie. Nie prawdopodobne to może, ale z tem wszystkiem jak najbardziej prawdziwe.

W miasteczku jest powiat, jest magistrat i sąd pokoju, jest więc cukiernia, jest handelek jakiś, są koledzy. W domu piekielne nudy a że człowiek po pracy potrzebuje się rozerwać przecie, ciągnie się więc do cukierni lub handelku i schodzi wieczór, ba noc często cała przy kieliszku lub kartach. Cóż robi płeć żeńska tymczasem? Ha, pozostawiona sama sobie zabija czas także jak może, zabija go mianowicie słuchaniem i rozpuszczaniem plotek, które ciężką są plagą małomiasteczkowego żywota. A po za pijaństwem, kartami, plotkami ileż innych jeszcze wad, ile małostek i śmiesznostek powoduje ta gnuśna i obrzydła wegetacyja, jednemu Bogu wiadomo.

Jaka jest w gruncie rzeczy przyczyna tego nad wszelki wyraz nędznego, na partykularzach naszych żywota, jaka przyczyna tego marnowania czasu, który tak by łatwo było zużytkować pożytecznie i przyjemnie... jaki powód tego dobrowolnego przygnębiania własnej godności, tego poniżania ludzkiej natury. Tym razem zastanawiać się nad tem bliżej nie będziemy, a zajmiemy się raczej wskazaniem środków *i tanich i zupełnie możliwych*, jakiemi rozjaśnić by można ponure tło małomiasteczkowego życia. Za środki otóż takie, za środki które musiałyby korzystnie oddziałać na podniesienie strony duchowej, najzupełniej dziś na partykularzach zaniedbanej, uważamy:

Odczyty publiczne,
Teatry amatorskie, i
Kółka czytelnicze.

Że możliwe one zupełnie, za dowód służy okoliczność iż w niektórych lubo niestety w bardzo niewielu miejscowościach, poczęto je z dobrym zupełnie praktykować skutkiem.

Że nie potrzeba wielkich wysiłków, aby je w czyn wprowadzić, to także jasne zupełnie.

Na oryginalne naprzykład odczyty publiczne, silić się wcale nie ma powodu. W War-

szawie odczytów takich bywa kilkanaście lub kilkadziesiąt rocznie. Cóż łatwiejszego jak porozumieć się z prelegentami i ich odczyty powtórzyć?.. W Warszawie od lat kilku utrzymują się odczyty przeznaczone dla klass rzemieślniczych. Czyż, wtrącamy nawiasem, nie powinienby się także w każdem małem miasteczku znaleść z jeden dalej patrzący człowiek, któryby odczyty te, powtarzał dla miejscowego mieszczaństwa, również pogrążonego dzisiaj w najstraszniejszych ciemnościach?·

Urządzić jedno i drugie amatorskie przedstawienie nie jest także trudną rzeczą, a przeznaczyć co miesiąc kilka złotych, na prenumeratę pism i na książki, to już bezwzględnie niczyjej nie przechodzi możności. Z pism i książek użytkować by można wspólnie. Zbieramy się dziś u państwa Z., za dni parę u państwa X. i t d. i wieczór zamiast na kartach lub plotkach, przepędzamy w towarzystwie naszych sióstr, żon, córek, matek....

Aby tego wszystkiego dokonać, nie potrzeba niczego więcej jeno dobrej woli i trochę energii. W małych miasteczkach nie brak ludzi, którzy pojmują nędzę takiego jak dziś żywota. Ludzie ci radziby iżby się położenie zmieniło, ale nikt nie chce być pierwszym a tymczasem samo nic się nie zrobi.

Do kogoż dobry początek należy?..

Zdaniem naszem w interesie ogólnego dobra, w interesie swoim zresztą własnym, panie tu powinny wpływami swemi wywrzeć nacisk na ukształceńszych mężczyzn, których przecież chociażby paru znajdzie się zawsze w każdem powiatowem miasteczku.

Gdy zaś panowie ci wyłamywać się będą zajęciami, trudnościami, klasycznem „*alboż to u nas da się to zrobić*,“ powiedzcie im łaskawe panie: Tak jest, u nas trudniejszy może jak gdzieindziej początek, ale ci co za dobrą sprawę pójdą w pierwszych szeregach, dobrze się społeczności swojej zasłużą, a przecież warto się pokłopotać, gdy jak powiedział poeta, społeczność tę:

byle kochać, wspierać
Nie żal żyć w nędzy, nie żal i umierać.....

SZPARGAŁY RÓŻNOCZESNE.

Z teki zmarłej przyjaciółki

zebrała

Zofija z Brzozówki.

(ciąg dalszy)

Pani Blanka tymczasem na bal się ubiera w kanarkową krepę. Suknia lekka, powiewna, w aksamitne kwiaty, obciska składną jej postać. Na głowie gustowny stroik, odbija ślicznie od ciemnych włosów i oczu. Swobodna, wesoła pani Küks bawi się ciągle, dbając wszakże o *reputacyją*. Świat dziwi się że taka młoda, tak powabna, żona waryjata, tak jest jednak przyzwoitą. Niewiadomo kto ona z domu, bo pan Küks przywiózł ją z obczyzny i światu przedstawił. Płynnie mówi paryskim akcentem, gra, śpiewa, rysuje i umie to wszystko co się umie zwykle, kiedy zawyrokują, że już *skończona edukacyja*.

Już solenizantka ubrana, już światła zapalone, oświecają rzęsiście salon pysznie umeblowany. We framugach stoją marmurowe posągi: Wenery, Marsa i zazdrośnego Wulkana. Za salonem bogaty buduar, siedlisko rozmyślań pięknej pani Blanki. Bladoniebieskie obicie, jak lekki obłoczek błękitu, unosi się po nad modnym sprzętem. W każdym kącie porcelanowe wazony kwiatów. *Flos-passionis* obwija posąg Amorka, ujął go za szyjkę, za główkę, oczki tylko strzeliste i łuczek odkryte; i tak dalej wszystko świetne, kosztowne i pachnące. Tuż obok pokój sypialny, *sanctuarium* piękności, ujęty cały w draperyje z różowego muślinu, jak namiot wschodni, oświecony mdłem światłem lampy, której różowy płomień rumieni pokój tajemniczy. Parę wyniosłych myrtów ogradza łóżko okryte białym kaszmirem, zegar alabastrowy bije dźwięcznie kwadranse i godziny, słucha ich lew wypchany, rozciągnięty na dywanie przy łóżku, jedyny świadek i stróż uroczego siedliska. Kilka książek bogato oprawnych leży na miękkiej sofce; na której widocznie siedział ktoś przed chwilą, bo sprężyna odskoczyła wypełniając wysiedziane miejsce.

W salonie gwar, zjechali się goście, a i *siurpryza* dla pani Küks gotowa. Rodzina cyganów, złożona z kilkunastu osób, przybyła z powinszowaniem. Śpiew i taniec cygański wybornie się udał; oklaski i pochwały posypały się hojnie. Po wypiciu zdrowia solenizantki i złożeniu życzeń, cyganie odjechali z wesołą pieśnią.

Po północy fajerwerk, ognie bengalskie i wieczerza w namiocie. Cały ogród błyszczy illuminacyją, lampy goreją nawet na murze granicznym cmentarza. Światło w mieszkaniu umarłych; zdawałoby się, że Blanka sprawuje wielkie dla wszystkich egzekwije, dźwięk muzyki dochodzi tam wyraźnie, echo odbija tryle galopad, za wesołe dla tych co już śpią spokojnie w grobach.

Pani Küks, zajęta gośćmi, sama tańczy mało, przebiega salony, każe roznosić lody, sorbety i inne przysmaki. Idąc przez pokój sypialny, spojrzała na łóżko, czy pięknie kaszmir wygląda, aż coś mignęło szarego. Patrzy ciekawie, a to mąż ukryty po za łóżkiem ogląda się na wszystkie strony. Zawrzała Blanka ze złości, uszczypnęła go w ramię i tupnąwszy nogą rzekła:

— Wyjdź stąd poczwaro! Wyjdź natychmiast! Przeląkł się biedak iskier jej oczu i wypełzł z pokoju cisnąc się do muru. Zawołała powiernika, kazała męża na klucz zamknąć i wróciła do salonu widocznie wzruszona.

— Co pani tak pobladła? zapytał pan Emil.

— Eh! to nic, bagatela, cierpię często bicie serca i teraz właśnie doświadczyłam małego ataku.

— *Zróbmy* z jeden *tour* walca, a serduszko się uciszy, chociaż możebym i pragnął, aby silniej zabiło...

Uśmiechnęła się wdzięcznie Blanka i podała mu ramię.

Wkrótce bal przeniosł się do ogrodu. Światło jak w salonie; błękit nieba wygląda przy lampach jak sklepiony namiot, na drzewach sztucznie rozsiane gwiazdy, na wyniosłych topolach kręgi i koła gwiaździste, na jodłach żyrandole z lamp różnobarwnych, na drżących osinach miryjady świateł migocących między liśćmi. Jakby rószczką czarodzieja coraz się więcej zapala gwiazdek, szpilkęby można dojrzeć na ziemi.

Na najwznioślejszem wzgórzu, tuż koło cmentarza, wystrzelił gorejący bukiet, dano wielkie brawo; później znowu wieńce ogniste olśniły oczy patrzących. Jeden z nich wziąwszy fałszywy kierunek wpadł na cmentarz i tam pękł z trzaskiem na świeżej mogile.

— Ach! zawołali patrzący, to zły jakiś prognostyk! Bukiet pękł na grobie!

W tej chwili cały cmentarz zabłysnął światłem i pogrążył się w ciemnościach. Ludzka zabawka aż do umarłych doszła, ale nikt się nie zbudził, nie powstało żadne widmo, nie przyszło powinszować solenizantce. Przeląkł się tylko obdarty żydek, przekradający barykę wódki, i grabarz kończący pilną robotę na jutro. Biedak z baryłką osłupiał ze strachu, wypuścił z rąk kontrabandę, szpunt wyskoczył i wylała się wódka. Grabarz skaleczył łopatą nogę, zadziwił się, iż tyle naraz spadło gwiazd z nieba. A chociaż jako bywalec domyślił się, iż to taka za murem zabawa, opowiadał przecie nazajutrz o tem cmentarnym babom, jako o osobliwszem zjawisku.

Po fajerwerkach balowi goście rozbiegli się po ogrodzie w różnych kierunkach.

— Prawdziwie, mówił młodzik ślicznie podług najświeższej mody ubrany, noc to tak poetyczna, iż mógłbym siąść i pisać dumy, ballady, elegije... Czuję napływ myśli do głowy, a tak mi na sercu błogo, że oddałbym wszystko dla dobra ludzkości.

— Dobrze żeś się pan zdradził, rzekła pani Bieniecka, bo właśnie teraz na ubogich kwestuję, dowiedźże pan w czynie tego dobrego usposobienia.

— Z chęcią odddałbym wszystko, ale to karnawał łaskawa pani. Wydało się połowę dochodów, boć i kupcy to bliźni nasi...

— A więc pan moralizuje podczas pięknej nocy, a w dzień płaci za błyskotki; niewielebym u takich ukwestować mogła.

Elegant wykręcał się na jednej nodze, dowcipkował, wmawiał że jest poetą w duszy, ale dla biednych nie dał ani złamanego grosza.

Panie i panny unoszą się nad pięknością firmamentu; nie jedna, łezkę rozczulenia ociera drogocenną chustką, a tamtej zginęła szpilka brylantowa, nie szuka jej jednak nawet, bo tak rozmarzona księżycem. Ledwo nazajutrz gdy rozczulenie przeszło przypomniała sobie o tem, więc służącym zguby szukać kazano, ale nadaremnie. Później w rok poznano tę samą szpilkę, u pewnego panicza, co się także nad gwiazdami unosił, a przy ich blasku dostrzegłszy świecącą zgubę, wziął takową... na *pamiątkę*.

Już świt, a gdzieś daleko u krańców nieba, purpurowe promienie zapowiadają bliski wschód słońca, ziemia budzi się ze snu, i za chwilę, znowu będzie pełną życia. W ogrodzie pusto, jeszcze tylko w salonie słychać gwar, szastanie nogami i oddźwiek konającej muzyki. Piękności pobladły, matki męczennice karyjery córek poziewają pod chustkami, młodzież nie tak rzeźka, nie tak już nadskakująca.

Pani Blanka zachęca jeszcze do tańca, ale już i ona ociężała i pobladła. Poczęli rozjeżdżać się goście; a skończywszy z nimi pani Küks, przywołała powiernika, aby go zgromić jeszcze za to, że wypuścił pana podczas balu.

— JW. pani, jam temu nie winien, pan się wydostał przez okno.

— Żeby mi tego więcej nie było, bo wypędzę i osadzę wiesz gdzie, i za co?

— Wypędzę, wypędzę, a to jakiem prawem, rzekł powiernik pod nosem; wypędzę, a jak ja powiem wszystko, a jak ja powiem, że on przytomny, że zahukany tylko, to jak ty oczy światu pokażesz? Czy ja nie wiem czemeś dawniej była, choć cię teraz wszyscy szanują jakby co dobrego?... Przyjdzie czas, dam się ja tobie we znaki. Sprobuj mnie tylko wypędzić...

Tak złowrogo ciągle mrucząc, poszedł powiernik do szyneczku.

Blanka położyła się do łóżka, lecz zasnąć nie może: po każdym balu, zbytkach i strojach, staje bo przed nią zmarły kochanek z gorzką wymówką na ustach. Przewraca się po miękkiej pościeli, poprawia poduszki, zasłania oczy ręką, ale napróżno, widmo ciągle sen spędza z powiek.

Nareszcie zdrzemnęła trochę, ale we śnie odpycha kogoś, jakby cień jakiś zalegał przed nią: otwiera wpółsenne oczy i widzi stojącego męża. Brudny, rozczochrany, ponury, wydał się jej jak straszydło. Zrywa się, chce go odpędzić, ale on nie słucha. Chce go za rękę wyprowadzić, nie idzie. Biedak był w paroksyzmie nieposłuszeństwa, zazdrości i zgryzot sumienia.

— Dobrze się bawiłaś Blanko, ale mnie kazałaś siedzieć pod kluczem. Wszakże to nasz majątek wspólny. Jeżeli nadal będziesz tak okrutną, no, to ja wyznam wszystko, i ginąc sam, ciebie pociągnę razem.

Przelękła się Blanka, usiłuje ułagodzić męża, gładzi go po twarzy prosząc, iżby się uspokoił. Słabe człeczysko wpadło w lepszy humor, nie odstępuje żony, chodzi z nią po ogrodzie, je razem obiad, a zwodnica nieprzyjmuje nikogo, poleciwszy służbie oświadczyć że słaba.

Złudzony postępowaniem żony, odurzony wódką i winem, po dniach kilku, a wielu pieszczotach, zrzeka się całego funduszu. Wówczas poczuła się Blanka panią, cofnęła pieszczoty, a zamiast wina, dawała wódki ile tylko zechciał. Wrócił biedak do dawnego stanu niedoli, a ona weselsza niż kiedy, zaciąga sidła na dostatniego a będącego w modzie młodzika, jeździ z nim konno i usiłuje oczarować.

Dnia jednego wyjechali za miasto oboje; Emil na dzielnym rumaku, ona na swej białonóżce Stelli. Włosy Emila wietrzyk rozwiewa, a słońce ozłaca. Ciemne oczy błyszczą jak szafiry, rumieniec krasi wypieszczone lica. I Blanka ślicznie wygląda: jej amazonka długa i szeroka, uwydatnia wdzięcznie zgrabną postać. Twarz śniadawą ożywia rumieniec, oczy pełne ognia przysłania miłość przelotna. Włos czarny, lekko rozkręcony spada aż na ramiona, bukiet niezapominajek kołysze się u piersi. Konie idą obok siebie tak równo, tak zgodnie, tak blisko, że Emil prosi o rączkę Blanki. Zdjęła rękawiczkę, pogładziła Stellę i podała ją z wdziękiem Emilowi.

— Cóż za rączka, jakżebym pragnął mieć ją zawsze w swojej dłoni.

Blanka spojrzała, uśmiechnęła się i cofnęła rękę. Emil patrzył na nią z wyrzutem, ona mu pokazała swą obrączkę ślubną.

— Dla miłości nie ma przeszkód, rzekł Emil i spojrzał w górę.

Zabłysły oczy kobiety, jak dyjamentowe iskierki. Puściła cugle, jednę rękę podała Emilowi, drugą odpięła bukiecik niezapominajek i ten mu oddała. Młody człowiek ucałował kwiatki i uścisnął rączkę.

Wracali milcząc do domu, o zmroku Emil pożegnał Blankę i pojechał do miasta, ona wróciła do siebie. Pusto wszędzie, rozpierzchli się słudzy. Podchodzi do pokoju męża i słucha podedrzwiami. Bełkoce pijany:—Dajcie wódki! dajcie wódki! i szuka ręką butelki. Na stoliku stał spirytus pozostały od jakiegoś lekarstwa. Wyciągnął rękę, chwycił butelkę i jednym haustem wychylił wszystko. W parę minut weszła Blanka i spojrzała na męża. Czerwony jak rak, obrzękły, rozczochrany i brudny, odwraca się więc ze wstrętem i wymyka z pokoju. Ale dręczy ją troska, której usunąć nie może, wstaje po północy, jak białe widmo przesuwa się przez puste salony. Idąc koło framugi, gdzie stoi Wenus, zatrzymuje się na chwilkę, świt zaledwo poczęty rzuca na obie, smugi bladego światła. Dwie białe kobiety zdawały się patrzeć zazdrośnie na siebie.

— Któraż to z nas piękniejsza, którążby Emil wybrał? Jam żywa i ciepła; a ty martwa i chłodna.

Dotyka ręką marmurową piękność, przegląda się w zwierciadle i zadowolona z porównania, idzie dalej z uśmiechem. Otwiera drzwi zlekka, wyziew gorączkowy napełnia cały pokój, mąż oddycha ciężko, oczy z powiek wyparte, ręce i nogi w konwulsyjnych drganiach Strach ogarnął Blankę, popatrzyła minut kilka i wymknęła się z pokoju. Kładzie się znowu do łóżka, ale sen ucieka, serce bije mocno w gorączkowej trwodze.

O ósmej rano wszedł sługa do pokoju pana. Leżał zsiniały i nieruchomy. Trąca go, budzi, wstrząsa, ale na nic wszystko. Pan widocznie nie żyje. Wpada co prędzej, aby o tem oznajmić pani.

— Czyż być może? krzyknęła, skoczyła z łóżka; bieży do zmarłego, pada na kolana, chustką zakrywa wdowie suche oczy, a właściciel domu daje tymczasem znać o nagłem lokatora zgonie.

Przywiązana żona poniosła wielkie ofiary, żeby z powodu nagłej śmierci nie naruszać zwłok drogiego męża. Poczem w dni parę odbył się wspaniały pogrzeb, a za trumną w ciężkiej żałobie szła zapłakana Blanka...

W kilka jakoś tygodni Emil odwiedził osieroconą i dostrzegł kilka zmarszczek na twarzy, a co go jeszcze bardziej uderzyło, kilka srebrnych włosów na głowie.

Dla miłości nie ma przeszkód, mówił jej tak niedawno, a dzisiaj nie idzie mu wcale rozmowa. W miesiąc później wyjechał Emil nai wieś i zaślubił posażną choć podstarzałą nieco pannę.

Blanka postanowiła wyjechać w rodzinne strony, a w stolicy znalazła dogodnego męża, nowych znajomych, świeże rozrywki i skuteczny środek na srebrne włosy i niegrzeczne zmarszczki. Szczęśliwa!

Państwu Emilom nudziło się w kraju; szukali więc lekarstwa od nudów, w badeńskich wodach, rzymskich karnawałach i paryskich balach. Pani Emilowa w lat kilka umarła z przeziębienia w Szwajcaryi, po jakiejś przy świetle księżyca melancholii. Pan Emil zasłabł ciężko na *kieskosusz*, i leczył się po raz drugi, biorąc wiano za żoną, a żonę w przywianku. Lecz nowa pani tytularnie bogata, a energiczna nad wyraz, nie dała małżonkowi zaspać gruszek w popiele. Uroiła sobie jakieś neapolitańskie summy, po jakimś królu, w prostej linii swoim kuzynie, i wysłała męża po spadek, z listem do pani Küks, dawnej swej znajomej, możnej i wpływowej damy stołecznej.

Pan Emil wybrał się w daleką drogę, skromnym dyliżansem, i nawet bez lokaja. Najął stancyję gdzieś na końcu miasta a że *kiedy trwoga to do Boga*, poszedł naprzód do kościoła. Wychodząc rozdawał groszowe jałmużny, na *intencyją szczęśliwego powodzenia w procesie.*

— Cóż to tak mało? Postarzałeś się i poskąpiałeś! *Dla miłości nie ma przeszkód!* Jestem do wzięcia! Cha—cha—cha! rzekła grosz chowając, zachrzypłym głosem trędowata jakaś żebraczka, grożąc figlarnie skostniałą od zimna ręką.

Emil odskoczył, jakby na węża nastąpił, to pani Küks przemawiała doń w te słowa:

— Nie bój się i ty niedługo zasiądziesz tu przy mnie. Chodź, chodź, chowam już nawet miejsce dla ciebie!

Na takie zaprosiny, los nie pozwolił stawić się dawnemu *aspirantowi*. Przegrał sprawę, a nie chcąc wracać do smoka na służbę, uciekł ze świata, przez rurkę od pistoletu.

III.

> Anioł duszyczki poniósł do nieba,
> Zwiędłe sukienki śmierć zagarnęła:
> Matce z dzieciątkiem nic już nie trzeba,
> Tylko co boskie, to z sobą wzięła.

Opustoszał pałac po wyjeździe pani Küks, dziedzic onego chodzi po pokojach, opatruje czy wszystko na miejscu, czy nie ma szkody. Znajduje połamane krzesła, poobijane gzymsy, poskręcane zamki; marszczy się, gdera, woła ślusarza, każe malować pokoje, woskować podłogi, i czeka na nowych gości.

W urzędniczym domku, cicho i smutno jak w grobie. W nocy dojrzałam błysk światła, skoro dzień zaświtał światło zagasło, pobiegłam więc pod okno, wietrzyk to wyciąga to wpycha napowrót muślinową firankę; much kilka brzęczy latając po ścianach, makolągwa śpiewa w krzaku pod oknem; brzask różanej jutrzenki, błękit pogodnego nieba, żółtawy promyk słońca, ujęły w ramę domeczek.

Wchodzę do pokoju, ale nie ma w nim nikogo, idę więc do drugiej izdebki. Tu na stoliku przypartym do ściany leży aniołek blady przejrzysty. Oczki zapadłe, usteczka sine jak

przecięty listek piwonii: w głowach świecie gromnica i stoi godło męki Chrystusa. Cała dziecina świeżem zarzucona kwieciem, ale gdzież jego nieszczęśliwa matka? O kroków kilka parawan, zaglądam zań z biciem serca i widzę że leży na łóżku. Oko przygasłe, krwi i ciała prawie już niema, blada i wynędzniała jak szczapa. Przy niej mąż siedzi w milczeniu a co chwila wymyka się aby spojrzeć na dziecię, na swoje całe szczęście stracone.

Uklękłam przy łóżku, bo oto i matka już kona, mąż w osłupieniu siedzi przy niej jak przykuty. Konająca chwyta go za rękę, ciśnie do serca, które już bić przestaje, chce ucałować tę rękę ale usta bezsilne, oko gasnące, wzdycha tylko cichutko i usypia na wieki. Mąż nie płacze, nie mdleje, ale widać że w tej strasznej chwili, przeżył większą połowę życia, że pamięci o żonie i dziecku nikt mu nigdy z duszy nie zdejmie.

Nadciągnęły znajome nieboszczki i przybrały ją na wieczny spoczynek.

Wdowiec podszedł do mnie mówiąc:

— Pani nie wiesz, pani tego nie możesz wiedzieć co to była za kobieta i oddał mi kluczyki od szkatułki zmarłej.

Znalazłam w niej mnóstwo zapisanych ćwiartek, a co z nich tylko do serca przypadło przepisałam sobie. Z liter przebijał jej stan zdrowia, a z myśli jej dusza. To co pisała kiedyś, kiedyś młodem będąc jeszcze dziewczątkiem, równe było i czytelne; później charakter już mniej równy, a przedśmiertny ledwo się odczytać dawał. Były to poezyje rzewne, poczciwe, żywotne. Obok zapisanych ćwiartek była sylwetka rodziców, kosmyk włosków dziecinnych; zasuszone bratki, pierwszy podarek kochanka a następnie męża.

Ułożyłam pamiątki zmarłej i wyszłam do ogrodu. Samotną przechadzkę przerwało nagle pozdrowienie:

— Dobry wieczór łaskawej pani!

Koło mnie była piękna owa żydówka, imieniem Rebeka.

— Nie bardzo bo dobry, odrzekłam smutnie i opowiedziałam o nieszczęściu sąsiada.



Zgon Barbary Radziwiłłówny. Kopja obrazu J. Simlera.

Załzawiły się wymowne oczy Rebeki, a usta rzekły: — Szczęśliwa skoro już cierpieć przestała.

W oku, w głosie i w ruchach żydówki czuć było że ją ciężar jakiś gniecie, czuć że chciała poszukać ulgi w zwierzeniu, ale się bała aby nie trącić, *o serce z kamienia*. Tak się atoli jakoś stało, że od niechcenia niby, z cicha, wypowiedziała wszystko co ją boli.

— Nie wstydzę się mojego gniazda, bo go kocham ale przeczuwam z bólem że nie rychło powrócimy do obiecanej ziemi. Bóg nie wyzwala szachrajów, wyzyskiwaczów, próżniaków, ludzi co czekają nowej manny z założonemi rękami. Prawdziwy postęp trudno się do nas przeciska, a gdy co za bardzo zaboli, wówczas płaczą.. wołają w niebogłosy i na tem koniec.

— Cześć temu kto w pani rozbudził takie szlachetne pojęcia...

— Opowiem pani o tem pokrótce. Moi rodzice są to uczciwi pod każdym względem ludziska, ale kupiectwu oddani; nie podnieśli tego szlachetnego zajęcia do pojęć społecznych, żyjąc z ludźmi starego trybu. Brat mój to młodzieniec wyższego umysłu. Zdolny, gorliwy, chciano go więc wykierować na kupca lub rabina, ale wstręt on ma do tych rzeczy, bo jest poetą w duszy, i chce iść własną drogą. Nauczycielem naszym był akademik, polak i jemu to winniśmy wszystko. On nie żywił wstrętu do naszego rodu, nie zaćmiewał obiecanej krainy, ale objaśniał: że, co człek kocha poczciwie, w co wierzy i o czem myśli rozumnie, to prędzej czy później musi z Bożą pomocą otrzymać. Akademik ten jako medyk, wysłanym następnie został gdzieś w dalekie strony. Brat mój wyjechał na uniwersytet niemiecki a mnie wydano za mąż. U nas nie pytają o to czy się narzeczeni kochają czy nie; rodzice układają zamęźcie, przeznaczają posag, a my stajemy do ślubu, z obowiązkiem pokochania potem narzuconego męża. I mój los taki, dusza moja jednak jeszcze nie zmarniała, rdza kramarstwa jeszcze jej nie pożarła.

— Czyż nie kochasz pani męża i dzieci?

— Mąż mój dobry człowiek, ale nic więcej jak pospolity tutejszy kupiec. Dzieci mam dwoje: dziesięcioletniego syna, któremu przy-

tępia umysł podrabin uczony po naszemu. Córka lat sześciu wyłącznie pod moim pozostaje kierunkiem: umie już czytać i pisać po polsku, a mierzyć i ważyć nigdy jej nie pozwalam. Byłam kilka razy w waszym kościele, i wyznam pani szczerze, chciało mi się upaść na kolana, i uczcić Boga waszego, waszego Chrystusa...

— Zbawcą On całego świata, a my dzieci jednej ziemi, powinniśmy Go rozumieć, powinniśmy tak się kochać jak on to przykazał. My i wy powinno już zginąć i w mowie i w życiu. Wszyscyśmy tu swoi, z wyjątkiem tych, co na ołtarzu wspólnego dobra i cnoty, nie poświęcili ducha swojego.

Gdy tak rozprawiamy zjawił się pan Ficel, prosząc Rebeki aby mu jutro przed dwunastą opłaciła należność kwartalną, bo ani minuty czekać nie może i nie będzie.

Głos jego szorstki, egzekucyjny, wywarł na nas przykre wrażenie. Pan Ficel poszedł dalej, a Rebeka rzekła:

— Nie z jednym takim spotykać się trzeba i dla tego szukam samotności, choć jej znaleźć nie mogę. Chciałabym się nieraz z mężem moim podzielić myślą moją, ale on wiecznie zajęty. Waży złoto, liczy srebro, rachuje ile zyskał na interesie, i myśli żem powinna być szczęśliwą gdy mi powie że sto od sta zarobił. A ja chciałabym wtenczas uciec daleko, nie mogąc pokonać boleści. Matka dostrzegłszy zmianę na mej twarzy, posyła co tchu po doktora. Doktor przychodzi, zapisuje proszek na uspokojenie nerwów i zapewnia, że nic nie ma złego, że to prędko przejść musi.

Onegdaj przechodząc obok kościoła Ś-go Jana, wstąpiłam doń na chwilę i ucieszyłam się bardzo że nie było więcej nikogo. Wzrok mój w krzyżu utonął, i zobaczyłam promienie nad głową Zbawiciela. Widziałam jak z krwi kropel sączących się z pod gwoździ, zieleniły się palmowe i oliwne rószczki, więc w pokorze padłam na kolana wołając: Panie przebacz, Panie zlituj się nad nami, Panie natchnij jednych, oświeć i uszlachetnij drugich; Panie złącz w bratni węzeł dzieci jednej ziemi...

Łzy i prośby moje przerwał człowiek idący z pękiem kluczów zamykać kościół. Wyszłam unosząc wrażenie niczem niezatarte. A teraz muszę panią pożegnać, obowiązek wola do siebie, liczę jednak że się zobaczymy jutro...

IV.

Myśl, kochaj, pracuj; tylko nie drzem bracie,
Byś zewsząd przyniósł, naukę swej chacie.

W pałacu znowu ludno, bo zamieszkała w nim rodzina pp. podkomorzych Drużynów, złożona z dwóch synów, dwóch córek, siostrzenicy i nauczyciela.



Ignacy Kowalewski leśnik (gajowy) z majętności Taboryszki w gub. Wileńskiej; Rysował z natury Wł. Dmochowski.

Podkomorzy Pan Kazimierz Drużyna zawołany rolnik, gospodarzył na wsi. Odprowadził tylko żonę do miasta i po tygodniu odjechał. Był to człowiek już podżyły. W młodości świat przekrzyżował konno z temi, co to: „*Swemi zwiedzili szeregi, Egiptu piaski, Apeninów śniegi.*“ Miernego wzrostu, ale nadzwyczaj silnie zbudowany, miał pięść taką, iż jak o nim mówiono: sok pociekłby z drzewa gdyby je dobrze nacisnął. Ciemny blondyn, ogorzały, z czarnym rozchwianym wąsem; oczy miał szafirowe, patrzące stanowczo lecz łagodnie. Czoło wysokie, sklepione, pokryte marszczkami w różnych kierunkach, zbiegające mi się do jednej poprzecznej między oczami fałdy; brwi nawisłe, ruchliwe; lecz kiedy je zmarszczył, lew szedłby z drogi; tak musiał wyglądać gdy pierwszy wdarł się na mury Peskiery. Ale gdy błogi pokój muśnie go po twarzy, gdy czoło wygładzi, gdy rzewne głębokie spojrzenie do wyższych pośle światów, chce się go wówczas zapytać: co się dzieje w niebie, co będzie na ziemi? Tak musiał wyglądać gdy idąc pod Waterloo rzekł do swego wodza: „Nie wrócimy już do Paryża.“ Nareszcie osiadł w pradziadowej wiosce. Znał Hrubieszowskiego dziedzica Staszica, i poszedł jego drogą.

Pani Jadwiga z Porębów Drużynowa, była średnich lat kobietą o wzniosłej, szykownej postaci. Włos miała czarny, lśkniący granatu odcieniem, oko ciemnego, przezroczego błękitu, w ustach słodycz niezrównaną, a w całem obliczu wdzięk, hart, urok i powagę.

Pani Kazimierzowa z tego wszystkiego czego się uczyła na wsławionych pensyjach i od różnojęzycznych guwernantek, uniosła tylko miłość muzyki i historyi.

Mieszkała parę lat w Paryżu z mężem, przy chorej swej matce, słynnej kiedyś piękności. Widziała wszystko, co tam widzieć można było, w świecie blasku i świetności; lecz widziała i to, czego nie widzą inne, jeżdżące dla tego: by cudzym blaskiem własnego ducha omroczyć; by za grosz ojczysty, obce kupić wady; by domowe bogi wykoszlawić na obcych bałwanów wzory; by własne zdrowie, rodzinne życia ponęty i ojców wiarę, przygnieść frazesami kosmopolityzmu, panteizmu, migreną, spazmami i nudą; aby niemi zarażać dom, rodzinę i okolice.

Przeto, gdy matka pani Kazimierzowej zupełnie wyzdrowiała a rada Paryżowi, została tam na dłużej, gdy kilka z nią będących kuzynek wcale nie gniewało się za to; gdy nawet pan Kazimierz nie nudził z dawnemi towarzyszami, pani Kazimierzowa tęskniła do kraju, a gdy mąż zapytał:

— Albożci tu źle, Jadwiniu?

— Tu bardzo dobrze, odrzekła, a u nas źle bardzo; lecz dla tego właśnie śpieszę, by tamto złe poprawić... Czemuż ten kraj tak bogaty we wszystkie moralne i materyjalne zasoby? Ha! bo nie naśladując nikogo, wszystko z sie-

bie wyrobił, a cudze wzory po swojemu, na własny przechylił obyczaj. Gdzież choć jeden dom w całej Francyi, mówiący nie francuzkim językiem? Gdzie jedno dziecię, nie umiejące naprzód swej mowy? Gdzie jedna książka lub gazeta naszpikowana obcemi zwrotami i słowy? Nie małpiarstwem urosł Francuz: źle go rozumie kto jego małpą stąd odchodzi; taki, śmiech tylko lub pogardę Francuza i nicość własnej nędzy do domu poniesie. Właściwością ogładzonej dziczy jest branie z cywilizacyi jej wad i pozorów. A przecież my dziczą nie jesteśmy. Był czas żeśmy Europę w prawdziwej prześcignęli oświacie; o czem tam dziś jeszcze jak o nowości gadają, o tem u nas kiedyś po zaściankach wiedziano. Aby więc uczcić ducha owych czasów, uszanować postęp dzisiejszego świata, jedźmy do domu żyć po swojemu, orać starą niwę nowym pługiem, na obfitsze jutra plony.

— Masz racyją, masz racyją, Jadwiniu, rzekł pan Kazimierz, uścisnąwszy żonę.

Za dni też kilka pędzili oboje w rodzinne trony po strasburskim trakcie.

Państwo Kazimierzowie osiedli na wsi, lecz nie osiedli za piecem. Oboje we właściwem zajęć podziale, pracowali o wspólnej myśli, ku wspólnym celom uszlachetnionego życia. Przygody i klęski znosili nie z martwą rezygnacyją, lecz z pojęciem koniecznego rozwoju ludzkości. Wierzyli z przeświadczeniem w myśl bożą, coraz wydatniejszą w dziejowym jej pochodzie; a naprzód zapytali się siebie, co też jej dłużni, o ile jej nie pojęli, więc o ile sami czemu winni, i uderzywszy się w piersi, szli dalej w miłości, modlitwie i pracy.

Pani Kazimierzowa dorównała w ścisłości i porządku najzawołańszym gospodyniom. Wiedziała o najdrobniejszej rzeczy, o każdym gospodarskim postępie, o każdej poczciwej książce; o każdem dziecku chorem czy zdrowem swych domowników i włości.

Nigdy jaskrawem słówkiem nie poczęstowała grubej i leniwej, jak zwykle u nas czeladzi. Z serdeczną cierpliwością upomniała za przewinienie i nauczyła jak należy to lub owo wykonać, by najprostszą robotę. A gdy się które niedało nawrócić, odprawiała łagodnie, dając jeszcze na drogę grosza, macierzyńskie upomnienie i życząc wszelkiego dobra.

d. c. n.

ZARYSY

Gubernij północno i połudn.-zachodnich,

skreślił

JAN ZE ŚLIWINA.

(Ciąg dalszy,—patrz Nr 36).

XII.

GUBERNIJA WITEBSKA.

Gubernija Witebska graniczy na północ z gub. Pskowską, na wschód ze Smoleńską; na południe z Mohilewską, Mińską i Wileńską; na zachód z Kurlandyją i Liflandyją.

Przestrzeń gubernii wynosi 814,7 mil kw., czyli 39,922 wiorst kwadr., albo 4,158,000 dziesięcin (45, 432 kilometrów).

Powierzchnia gubernii górzysta, poprzerzynana znacznemi wyniosłościami. Cała przestrzeń zajmuje kotlinę, którą z prawej strony rzeka Dźwina oddziela od kotliny zatoki Fińskiej, z lewej zaś od kotliny Dnieprowskiej.

Pod względem geologicznym należy do formacyi dewońskiej, ale na wschodzie granice jej dotykają formacyi węgla kamiennego. Góry składają się z warstw piaskowca czerwonego i niekiedy z wapienia. Sskały, kamienie erratyczne, oraz skamieniałości natrafiają się dość liczne na całej przestrzeni gubernii, ostatnie zaś szczególnie na wyniosłych brzegach Dźwiny Zachodniej. Góry stanowią przedłużenie wyniosłości wałdajskich w powiecie Wieliżskim, a inne, jak w Witebskim i Lepelskim, stanowią dalszy ciąg wyniosłości Awratyńskiej.

Najważniejsza rzeka w gubernii Dźwina Zachodnia. Przebiega ona przestrzeń 143 milową (1,000 wiorst), od początku swego w gubernii Twerskiej, o 13 wiorst od początku sławnej Wołgi, gdzie wypływa z jeziora Dwinca w powiecie Ostaszkowskim; przepływa 31 wiorst w Twerskiej, następnie płynie 120 wiorst guberniją Pskowską, na północno-wschodniej granicy gub. Witebskiej przebiega wiorst 30, a od ujścia rzeki Mieży robi kręty zwrót na południe i później płynie na zachód. Cały jej przebieg w gubernii wynosi 680 wiorst; następnie wkracza do Liflandyi i wpada do zatoki Rygskiej o 11 wiort od Rygi dwoma korytami. Cała przestrzeń krainy rzecznej wynosi do 3,500 mil. kw. Największa jej szerokość w Kurlandyi dochodzi 200 sążni, w Witebskiej zaś gub. od 50 do 180 i więcej sążni. Dno rzeki najczęściej kamieniste, głębokość nierówna, największa 4 sążnie. Pokłady kamieniste, wysepki, niekiedy mielizny, a głównie porohy wpływają na bieg rzeki, nadzwyczaj bystry śród brzegów zaciśniętych i powolny gdzie koryto szerokie, porohami lub mieliznami nieprzegrodzone. Dźwina Zachodnia wolna od lodu dla żeglugi przez 229 dni w roku, (od 4 kwietnia do 20 listopada), przez to nabiera ona wielkiej doniosłości pod względem spławu, który w przecięciu dochodzi rocznie do 7 milijonów rubli wartości.

Przytoki Dźwiny Zachodniej z lewej strony: *Mieża, Kapsla, Łuczesa, Ulta, Uszacz*, z prawej strony: *Uświata*, inaczej: *Usiacza, Polota, Dryssa, Dubna.*

W ogóle oprócz Dźwiny w gubernii Witebskiej ważniejszych rzek liczą 22, z tych 3 żeglowne i 19 spławnych. Nadto jest 62 mniejszych rzeczek i strumyków.

Jezior liczą 2,500. Ważniejsze z nich: *Oziernyszcze* w pow. Horodeckim; *Lepelskie, Janowo, Czerstwiany* w pow. Lepelskim; *Ruszana, Siwer* w Dynaburskim; *Oświej, Lisno* w Dryssieńskim; *Borodino, Newelskie, Zawiereże, Uszczo, Seruty, Niekłocz, Jazno* w Newelskim; *Dryssa, Czerwito* w Połockim; *Siebież, Osina, Swiblo, Niewedro*, w Siebieżskim; *Łubań, Jeszo* (z 25 wyspami) w Rzeżyckim. Nadto zasługują na wspomnienie jeziora *Sołowii, Piernatki* i w. i.

Lasy zajmują przestrzeń 1,738,000 dziesięcin. Najbardziej lesisty jest powiat Połocki. Przemaga tu drzewo iglaste. Dębowych gajów i lasów liściowych nie wiele zostało.

Płody przyrodzone ubogie. Pszenica źle rodzi. Za to najobfitszy tu len, do reszty ziemię wycieńczający. Żyto i owies dobrze rodzą. Podług urzędowych źródeł z r. 1871, w całej gubernii wysiew zbóż ozimych wynosił 262,000 czetwert,, które dały 840,000 czetw., zbóż jarych 403,000 czetwerti, te dały czetw. 1,354,000; kartofli było zasadzonych 222,000, zebrano 1,113,000 czetw. [1]). W lasach znajdują się niedźwiedzie i wilki w niezmiernej ilości. Innych rodzajów zwierza nie wiele. Ruch fabryczno-rękodzielniczy dość znaczny. Są tu gorzelnie, garbarnie, cegielnie, fabryki świec, wosku, wyrobów garncarskich, gazowe, wyroby bawełniane, kaszy, pokostu, laku, tytoniu i 1 papiernia. W r. 1871 podług statystyki p. W. de Liwrona (1874) wszystkich fabryk i rękodzielniczych zakładów, oraz gorzelni i piwowarni liczono 766. W nich pracujących było 1,930. Wartość wyrobów rocznie wynosiła 2,109,258 rubli, nie licząc ani robotnika, ani summy wyrobu na gorzelniach i innych browarach.

W tymże roku liczono w całej gubernii koni 174,000, bydła 345,000, owiec 290,000, świń 169,000.

Gubernija Witebska dzieli się na 11 powiatów, a mianowicie: Witebski, Wieliżki, Horodecki, Dynaburski, Dryssеński, Lepelski, Lucyński, Newelski, Połocki, Rzeżycki, Siebieżski. Powiaty te dzielą się na 37 uczątsków (stany) policyjnych, 57 uczątsków żandarmeryi, i 36 zarządów włościańskich. Miast jest w ogóle 44, gmin 223. Właścicieli ziemskich 3,720, w posiadaniu których zostaje 2,085,490 dziesięcin ziemi. Z liczby tych, mniejszych właścicieli w posiadaniu których od 1 do 100 dziesięcin, jest 2,252 a liczba posiadanej ziemi 58,621 dziesięcin; od 100 do 500 dziesięcin posiadają 808 właścicieli, a liczba ziemi do nich należącej 193,551 dziesięcin; właścicieli mających ziemi od 500 do 1,000 dziesięcin 229, a liczba dziesięcin 166,675; nakoniec większych właścicieli, posiadających więcej 1,000 dziesięcin, 431, do nich należy 1,666,643.

Ludność gubernii w r. 1872 wynosiła: płci męzkiej 451,533; płci niewieściej 449,275, razem 900,808. A zatem na 1 kw. wiorstę wypada 22,3.

W r. 1870 liczono: szlachty 19,627; duchowieństwa 4,121; miejskich obywateli 139,582; mieszkańców wsi 676,260; wojskowych 42,523; cudzoziemców 1,786. Stąd wynika, że szlachty 2%, duchowieństwa 0,4, mieszkańców miast 1,5. mieszkańców wiejskich 76%.

Podług wyznań w r. 1871 liczono: prawosławnych 565,455 rzymsko-katolickiego wyznania 251,660; starowierców albo roskolników 49,945; protestantów 13,691; żydów 80,426; i 1 mahometanin. A zatem prawosławnych wypada 55 przeszło %, katolików z górą 27, żydów 9%.

Podług szczepów plemiennych: Białorussów z górą 500,000; Wielkorossyjan około 50,000; Polaków 40,725, Łotyszów (litewskiego szczepu) z górą 200,000. W roku 1871 na 100 mieszkańców liczono Białorusinów 64, Łotyszów 20, Polaków 5.

---

[1]) *Czetwert* zawiera 2 ośminy, albo 8 czetwieryków, czyli 64 garnce a na wagę czetwert pszenicy zawiera 10 pudów (4 centnary).

Białorusini zamieszkują całą guberniję [1]) oprócz powiatów Dynaburskiego, Rzeżyckiego i Lucyńskiego, które stanowią niejako odrębną część zwaną *Inflanty*, zasiedloną przeważnie przez Łotwaków albo Łotyszów, należących do szczepu Litewskiego.

Ruch ludności w gubernii przedstawia następujące przecięciowe dane: liczba rodzących się 40,449; liczba umarłych 28,413; ślubów małżeńskich 7,819.

Pod względem zarządu duchownego, prawosławni mają arcybiskupa w Witebsku; dawniej było tu sławne arcybiskupstwo Połockie, nazwa ta i do dziś dnia pozostała. W dyecezyi podług wiadomości z roku 1872, liczą 8 soborów czyli kościołów katedralnych, 450 cerkwi, 280 parafij, 6 klasztorów mężkich, 1 żeński, 54 mnichów, 32 zakonnice, 314 księży, 464 osób należących do posług kościelnych (pryczt).

Rzymsko-katolicy należą do archidyecezyi Mohilewskiej, której główny zarząd, t. j. arcybiskup metropolita, oraz konsystorz znajdują się w Petersburgu. W gub. Witebskiej następujące są dekanaty: Witebski, Wieliże-Newelski, Połocki, Lepelski, Drysso-Sobeski, Górno-Dynaburski, Dolno-Dynaburski, Rzeżycko - Rasneński, Rzeżycko - nad - Łubański, Przed-Lucyński, Za-Lucyński.

* * *

Tak więc widzimy, że rdzennych mieszkańców dzisiejszej gubernii Witebskiej stanowią Białorusini i Litwini-Łotysze, dwa, o wiele sprzeczne ze sobą żywioły, a nader ciekawe pod względem swych dziejów i stopniowego rozwoju. Zakres pracy naszej nie pozwala nam wkraczać w głębsze szczegóły, ważniejsze tylko chwile z życia dziejowego obu narodów wykazać zamierzamy.

W epoce przedhistorycznej i długo potem, kiedy wiara Chrystusa zaprowadzoną była, Biała-Ruś w Słowiańszczyznie nader ważną odgrywa rolę, a księstwo Połockie stało na widowni świata słowiańskiego. Dzieje tego księstwa są ciemne, mało zbadane. To co pisał Karamzin i jego następcy, opierając się na Nestorze mytycznym, który może nigdy nie istniał nawet, podpadło surowej krytyce późniejszych, raczej współczesnych historyków, jak Sołowjewa, Kostomarowa i innych. Nie mamy nawet wiernego spisu chronologicznego książąt połockich, bo gdy sądzono, że już wszyscy książęta są znani, zdobyte akta w archiwum Rygskiem ukazały uczonym nieznanego dotąd księcia połockiego i witebskiego Gierdena, który zawarł o umowę pokój d. 22 grudnia 1264 roku z wielkim mistrzem inflantskim [2]).

Następnie niektórzy przypuszczenia swoje posuwają dalej na podstawach niepozbawionych pewnej doniosłości, twierdząc, że książęta litewscy, przed Mendogiem, pochodzą od książąt płockich [1]). Twierdzenie to wymaga ściślejszych dowodów historycznych, a jednak nie można mu odmówić myśli nader szczęśliwej, bo inaczej prawie niepodobna wytłómaczyć te niezmierne podboje Litwinów na Rusi, które tak mało krwi przelały, a w jedną całość dwa państwa na niezmiernej przestrzeni zlały, a sławnem i wielkiem go uczyniły.

Język białoruski był językiem prawodawczym przez długie wieki na Rusi i Litwie, tym językiem mówili książęta Litewsko-ruscy; Prawda ruska Jarosława pod względem języka wielce zbliżona do białoruskiego; Pieśń o pułku Igora niełatwo zrozumiała dla innych szczepów, łatwą jest i w wielu razach toż samą dla Białorusów. Piosnki ludowe białoruskie należą do najstarożytniejszych, stanowiąc bogatą skarbnicę dla mitologii i etnologii słowiańskiej.

Dzielnica Połocka znaną jest w dziejach już w wieku X. Historycy chcą ją koniecznie przyłączyć, do ogólnego księstwa kijowskiego. Prawdopodobniej, że zawsze stanowiła odrębne księstwo, od czasu do czasu ulegając przemocy tych lub innych książąt obcych. Gdy nawet miała książąt z rodu litewskiego w wieku XII, była jeszcze księstwem udzielnem, a dopiero w XIII wieku ściślej połączona została z Litwą. Zaledwo około roku 1500, utworzono województwo połockie, do którego należały oprócz powiatu Połockiego, część Dziśnieńskiego, część Lepelskiego i innych. Na odrębne jednak powiaty podzielonem nie było.

Dzielnica Witebska musiała należeć do księstwa Połockiego, ale od 1101 r. stanowiła odrębne księstwo, a już w wieku XIII połączone z Litwą, chociaż posiadało zawsze własnych książąt. Wiemy, że pierwszą małżonką Olgierda w. ks. litewskiego, była Maryja, księżniczka witebska. Około 1500 r. utworzonem zostało województwo Witebskie, którego wojewodę wybierali sami mieszkańcy, a król tylko zatwierdzał. Województwo to składały dwa powiaty: Witebski i Orszański, ale do składu ich wchodziły części dzisiejszych powiatów: Wieliżskiego, Newelskiego i Siebieżskiego. Powiat Orszański należy dziś do gub. Mohilewskiej, a więc wrócimy do niego. Tu zaś dodać musimy, że gdy w r. 1772 województwa Witebskie i Połockie przyłączone zostały do Rossyi: powiat Orszański, właściwie południowa jego część, do r. 1793 został jeszcze przy Polsce.

Oprócz tych dwóch województw, do składu dzisiejszej gubernii Witebskiej należało jeszcze trzecie, województwo *Inflantckie*. *Livonia*, po łacinie,—*Liefland*, po niemiecku,— *Widzzemme* po łotewsku, znaczą to samo co *Inflanty* i mają jeden początek, tylko że Inflanty są dziś zaledwo cząstką ogólnej Liwonii, którą obecnie stanowi gubernija Rygska z powiatami Rygskim, Wendeńskim, Dorpackim i Parnawskim, gdy Inflanty należą do gubernii Witebskiej i dzielą się na trzy powiaty: Dynaburski, Rzeżycki i Lucyński. I tu i tam zamieszkuje jedno i to samo plemię Lettonów, czyli Łotyszów jednoplemiennych z Litwinami. Liwów, od których Niemcy cały kraj *Liwoniją* nazwali, trzeba uważać za przybyszów, którzy jednakże zmieszali się i z biegiem czasu w jeden naród zlali. Historyczna przeszłość tej krainy bardzo odległa. Naród był niezależny, od wieku XII stał się hołdownikiem książąt połockich. Następnie kiedy Niemcy, szczególnie Krzyżacy Mieczowi ogniem i mieczem na wiarę nawracać poczęli, wtedy i Inflanty, po długoletnich zapasach krwawych pod koniec XII wieku, uledz musiały wraz z Kurlandyją i Estoniją przemocy, zależąc od tego czasu od Rycerzy Mieczowych i nawet od samej Rygi, która ze swemi arcybiskupami także niejednokrotnie walkę z rycerzami owymi prowadziła. Znane są zbójeckie dzieje rycerzy, niepowtarzamy więc tu szczegółów, dość, że Inflanty prawie przez trzy wieki zostawały w jarzmie niemieckiem. Nakoniec ostatni mistrz rycerzy Mieczowych Gottard Ketler, 28 listopada 1561 r. w Wilnie złożył u stóp Zygmunta Augusta swe prawa do Inflant, które zostały wcielone do w. księstwa litewskiego. Kurlandyja, Semigalija oddane zostały Ketlerowi jako lenne księstwo, Zygmuntowi Augustowi uległe, Inflanty zaś w całej rozciągłości należąc do Litwy, goiły rany przez Niemców sobie zadane. Krótko to jednak trwało, bo nietolerancyja i fanatyzm Zygmunta III znowu ten kraj nieszczęśliwy na bezdroża i prześladowania wystawiły i zbliżyły chwilę utraty onego. Jakoż od r. 1660 na mocy traktatu Oliwskiego, już tylko kraniec Inflant pozostał przy Litwie, tworząc właśnie owe dzisiejsze trzy powiaty, Ryga zaś z całym krajem przeszły pod panowanie szwedzkie. W roku 1772 po pierwszym rozbiorze, Inflanty odeszły do Rossyi.

Inflanty litewskie nosiły tytuł księstwa i stanowiły osobne województwo, podzielone nie na powiaty, lecz na *trakty*, jako to: Dynaburski, Rzeżycki, Lucyński i Maryjenhauzki.

Lud inflancki, t. j. Łotysze, przetrwał wszystkie burze polityczne i dziejowe i do dziś dnia przechował swą mowę i obyczaje. Język łotewski w ostatnich latach starannie pielęgnowany, posiada niemałe grono pracowników. Kilka czasopism łotewskich wychodzi w Rydze i w innych miejscach Liflandyi. Uprawa łotewskiego piśmiennictwa nie od dziś dnia zaczęła się. Jeszcze w XVI wieku Jezuici po założeniu kollegium w Dynaburgu krzewić poczęli piśmiennictwo. Jezuita Jerzy Elger długi czas zarządzał kollegium Dynaburskiem, a będąc sam z urodzenia Łotyszem, pisał i miewał kazania po łotewsku. On to ułożył i drukiem ogłosił katechizm, wydał swoje kazania i przetłómaczył niektóre części

---

[1]) Białorusini zajmują znaczną przestrzeń po za obrębem gub. Witebskiej. Podług statystycznych badań de Liwrona (1874) Białorusini zajmują całą gubernije *Mohylewską*; część *Czernihowskiej*, a mianowicie powiaty: Czernihowski, Osterski, Horodnicki, Sosnicki, Nowgród-Siewierski: Nowozybkowskî, Starodubski i Surażski, część *Smoleńskiej*, oprócz powiatów: Gżatskiego, Syczewskiego, Bielskiego i Porzeczskiego, część *Pskowskiej* oprócz powiatów Chołmskiego, Toropeckiego i Wielikołuckiego, w gub. *Kałuskiej*, powiaty: Żyzdryński i Mosalski; w gub. *Orłowskicj* powiaty: Briański, Siewski, Trubczewski i Karaczewski. Przestrzeń zajmowaną przez Białorusinów liczy p. de Liwron na 180,402 wiorsty; ale opuszcza tu Białorusinów, mieszkających jak już mówiliśmy w gubernijach *Mińskiej*, *Grodzieńskiej* i *Wileńskiej*.

[2]) Dyplomata wyjaśuiające stosunki Rusi z Rygą i innemi miastami hanzeatyckiemi w XIII i XIV stuleciach, ogłoszone drukiem w r. 1857, przez komisyją archeologiczną w Petersburgu pod redakcyją zasłużonych badaczów dziejów słowiańskich akademików Arysta Kunika i ś. p. Michała Karkunowa.

[1]) Latopis Woskresieński powiada, że gdy w. ks. Mścisław Włodzimierzowicz (1128) podbił ziemię Połocką, a wszyscy książęta z domu panującego znaleźli przytulisko w Konstantynopolu: „*Wilnianie wziasza siebie iz Car-grada połotskoho Rostisława Rochwołodowicza, dietiej Dawiła kniazia da brata jeho Mąwkolda kniazia i toj na Wilnie prawi kniaź Dawił... a on Mawkolda kniazia, syn Mindowh.*“ O tem, ażeby książęta połoccy uciekali do Konstantynopola nigdzie niema wzmianki; bardzo więc być może, że ci książęta szukali schronienia na Litwie i stąd powołani zostali na tron wielkoksiążęcy litewski, a wkrótce pot em i ruski, a więc i połocki.

Pisma Św. Jeszcze przed nim, bo w r. 1586 wydany został po łotewsku katechizm luterski. Grammatyk jest kilka, z tych pierwsza wydana w Brunświku w r. 1761, przez Stendera ułożona; słownik języka łotewskiego ułożył Manzel i wydał w Mitawie w r. 1772 we 2 t. Niemiecko-łotewski i Łotewsko-niemiecki słownik ogłosił ten sam Stender w r. 1789. Inny, uzupełniony przez Wellicza wyszedł w r. 1828. Pismo Św. w zupełności przełożył pastor Glück i wydał w Malborgu. Poezyja ludowa zostawiła wiele pięknych pieśni, niejednokrotnie drukiem ogłaszanych, zupełnego jednak zbioru nie ma do tego czasu. Łotysz-włościanin, Henryk ślepy, z zeszłego stulecia, zostawił po sobie wiele piosnek świadczących o wysokim talencie poetyckim. Są w końcu i historyje literatury łotewskiej, ale po niemiecku pisane, przez Zimmermana w r. 1812 i Napierskiego w r. 1831.

Potomkowie dawnych rycerzy i baronów niemieckich, którzy mieli posiadłości w Liwonii, czyli w dzisiejszej gubernii Rygskiej, pozostali niemcami i to do dziś dnia, nawet zawziętymi niemcami. Przeciwnie ci, którzy osiedli w litewskich Inflantach, t. j. w dzisiejszej gubernii Witebskiej, chociaż niektórzy pochodzą z tych samych rodzin i do tegoż herbu należą, wynarodowili się zupełnie i są Polakami. Do takich Michał Baliński zalicza Borchów, Hilzenów, Platerów-Zybergów, Felkerzamów, Wejssenhofów, Korfów, Tyzenhauzów, Vietinghofów, Grothuzów, Mohlów, Denhofów i w. i. Za czasów Polski niemało też polskich rodzin tu się osiedliło, otrzymując nadania za swoje zasługi, lub też nabywając dobra. Do takich należą Wereszczyńscy, Kubliccy, Bujniccy, Sokołowscy, Karniccy, Benisławscy, Reuttowie, Szadurscy i t. d.

D. c. n.

LISTY Z ZAGRANICY

J. I. Kraszewskiego.

(Dokończenie)

Jeszcze nie zostało ukończone wspaniałe dzieło illustrowane „Italia,“ które po niemiecku wyszło w Stuttgarcie, u Engelhorna, i szczególniej dla przepysznych drzeworytów swych miało nadzwyczajne powodzenie; gdy taż sama firma, zupełnie na wzór Włoch, rozpoczęła podobną Szwajcaryją illustrowaną. Oba dzieła co do wyboru artystycznych illustracyj, co do wykonania typograficznego nic nie zostawiają do życzenia, przechodzą nawet pięknością „Amerykę malowniczą“ (Picturesque America), lecz tekst nie będący w żadnym związku z rysunkami, zaledwie czytać warto. Mamy nadzieję, że jedna z przedsiębierczych firm warszawskich, kiedyś nam przy lepszej treści dziele, przyswoi ten zbiór nadzwyczaj zajmujący rysunkiem, w którem i polskich artystów imiona znajdujemy.

Literackiem zjawiskiem, które ogromne wywołuje (a przynajmniej wywołaćby powinno) wrażenie, jest komedyja z r. 1564 po węgiersku, świeżo przedrukowana z zapomnianego druku 1569 r.; komedyja przed-shakespearowska, historyczna; pięć scen zjadliwych, dowcipnych, śmiałych, dowodzących że na Węgrzech był już teatr rozwinięty do pewnego stopnia, gdy w Anglii Marlowe i Shakespeare dopiero na świat przychodzili. To też w Anglii szczególniej nowy przedruk tej osobliwości zajął najżywiej literatów, gdy w Niemczech gdzie on wydany został w r. 1874 (Die Fürstenverrathe der Baron Malchior Balaschscha. Tragi-komödia in 5 abth. Gediechter 1564 vom „Anonymus“ der Buchdruckers und Unitarienpredigers Paul Naradi. Leipzig. Veit), zaledwie nań zwrócono uwagę.

Mnóstwem monografij wielce nauczających odznacza się literatura niemiecka, my, oprócz wybornej historyi konia, niedawno zmarłego hr. Maryjana Czapskiego, nic prawie w tym rodzaju nie mamy. Wyszły w tej chwili: „Kwiaty w podaniach i dziejach,“ szkice M. v. Stratza, które polecić możemy jako bardzo zajmujące, choć wieleby do nich można dorzucić jeszcze. (Die Blumen in Sage und Geschichte. Berlin. Euslin). Miłośnicy kwiatów znajdą tu ich historyją, pochodzenie, wspomnienia, symboliczne znaczenia, przymioty jakie im przypisywano i t. p. Autor zbierał potrosze wszędzie, w dziełach botanicznych dawnych, w pamiętnikach, w dziejach i złożył z tego cenny dosyć przyczynek do historyi obyczajów i życia. Czyta się to z przyjemnością i uczy więcej, niżby się spodziewać można.

Niezmiernie czynny w długiem swem życiu, Laube, dzisiaj po raz drugi dyrektor jednego z teatrów w Wiedniu, którego niedawno wyszedł pamiętnik sceny tej, opisujący koleje jakie przechodziła i tłómaczący czynności dyrektora, rozpoczął także druk (tom pierwszy) *Wspomnień* swoich... Nie ma wątpliwości że człowiek co tyle przeżył i tylu się ludzi dotykał, umysł tak żywy i niepospolicie obdarzony, znajdzie bogaty materyjał w przeszłości do jej odwzorowania. Oprócz tego wydał Laube niedawno zbiór powieści, zmarłego przyjaciela swojego Roberta Hellera (nachgelassene Erzählungen, pięć tomów, Bremen, Kühlmann), między któremi są wcale piękne i udatne. Z obrazków historycznych: Kowal Antwerpski (Quentin Messys) i Salvator Rosa, z obyczajowych: włoskie nowelle: Severina, Theodora, Doretta, szczególniej się odznaczają. Heller należał do najlepszych nowellistów niemieckich, chociaż zdaniem naszem, obok Heysego i Waldmüllera stanąć nie może.

Gdy w Wiedniu, artyści mejningeńscy i Laube walczą z ostygnięciem publiki dla teatru, w Londynie, pan Mapleson zabiera się do budowy i fundacyi, narodowej angielskiej opery! z odwagą godną John Bulla. Do końca maja r. 1876 budowa ma być ukończona i gotową. Mapleson były dyrektor królewskiego teatru w Drury-Lane, stoi na czele stowarzyszenia prywatnego kapitalistów. Rząd się do tego wcale nie przyczynia... Opera „narodowa“ głównie ma być przeznaczoną dla angielskich kompozytorów i artystów, jednakże i włoskie obok tego przedstawiane być mają arcydzieła. W czasie gdy opera (latem) nie idzie, teatr otworzy się dla dramatu. Mapleson chce z tem połączyć rodzaj szkoły dramatycznej i konserwatoryjum muzycznego. Gmach nowy stanąć ma niedaleko od Parlamentu i podziemnej stacyi Westminsterskiej, frontem głównym ku Tamizie. Osobna kolej żelazna prowadzić będzie do niego, jak do kryształowego pałacu. Budowa prostokątna, zajmować ma przestrzeń dziesięciu tysięcy metrów kwadratowych. Plan dawał architekt Fowler, a rachując na ludność Londynu, proporcyje dał wszystkim częściom olbrzymie, przechodzące wszystkie dotąd wzniesione teatra w Europie. Pośpiech nie dozwala teatru uczynić zbyt kunsztownie wykończonym i ozdobnym; będzie po angielsku: praktycznym raczej niż pięknym. Odznaczać się będzie od strony Tamizy galeryja trzypiętrowa z kolumnadą, która dozwoli w czasie antraktów przechadzać się i przypatrywać ożywionemu obrazowi Tamizy i całego na niej ruchu.

Dnia 29 września, zmarł we Wrocławiu, tajny nad-radca rządowy (po za służbowy), D. G. von Struensee, znany jako pisarz z talentem w literaturze niemieckiej. Urodzony w r. 1803 d. 13 grudnia w Greiffenbergu na Pomorzu, spędził młodość w Kolonii, gdzie ojciec jego spełniał obowiązki naczelnika policyi. Dwudziestoletni rozpoczął studyja w uniwersytecie w Bonn, i sposobił się na prawnika. Dokończył nauki w Berlinie i w r. 1831 wstąpił do służby rządowej, w r. 1834 jako radca rządowy posłany był do Coblenz; w r. 1848 przeniesiony do Wrocławia. W r. 1866 po trzydziestu kilku latach służby otrzymał uwolnienie. Zawód swój autorski rozpoczął Struensee późno, w wieku dojrzałym występując po raz pierwszy pod pseudonimem, nader przezroczystym: Gustawa v. See. Pierwszą próbą była nowella „Probostwo w Aardal,“ po której nastąpił romans obszerniejszych rozmiarów „Egon“ i trzytomowa „Rance“ (1845). Prace te zjednały mu uznanie i imie. Struensee zachęcony powodzeniem pisał ciągle; w r. 1853, wyszli „Egoiści“ a po nich kilkadziesiąt jeszcze tomów opowiadań, w ogóle bardzo pochlebnie przyjętych. Struensee należy w istocie do nie mnogich pisarzy powieści czerpiących z życia, doświadczenia, ze znajomości głębokiej świata, i opowiadania jego poważniejsze też są i większego znaczenia, nad wielką liczbę współczesnych utworów.

W Wiedniu zmarł niedawno, jeden ze współczesnych najznakomitszych pejzażystów, nestor malarzy krajobrazów austryjackich, Tomasz Ender. Urodził się w końcu przeszłego wieku w r. 1793 d. 4 listopada w Wiedniu, i dwunastoletnim już chłopaczkiem, począł chodzić do akademii kunsztów. Obdarzony znakomitym talentem, zdobył bardzo szybko wszystkie nagrody i przebiegł stopnie wykształcenia, jakich naówczas od artysty wymagano. W r. 1817 rząd austryjacki postanowiwszy wysłać naukową wyprawę do Brazylii, zaprosił do niej Endera, który powrócił z nadzwyczaj bogatym łupem studyjów. Około tysiąca rysunków, akwarelli, szkiców przywiózł w tece podróżnej, ale tak się przejął krasą, kolorytem, olbrzymiemi rozmiary krajobrazów południa, iż stracił już zupełnie czucie cale innej natury kraju własnego, i malował go w świetle i charakterze zwrotnikowym. Pomimo to, około 1830 roku, Ender stał na czele szkoły krajobrazów i miał

nieposzpolitą wziętość, ale ta znikła i przeszła bez rozgłosu, bez wpływu. Uczniów po nim nie zostało, smak i pojęcia się zmieniły. Staruszek opuszczony, pracował jednak niezmordowanie do ostatka, i latem puszczał się na studyja, które mu do przyszłych prac służyć miały. W tym roku jeszcze zbierał je *na zimę*, której dożyć już mu nie było przeznaczonem. Wiele kompozycyj Endera znajduje się sztychowanych. Należał on do szkoły krajobrazów, którąby dramatyczną nazwać można; w której natura występuje przystrojona i pozująca wdzięcznie. Dziś wymagamy natury naturalnej, i takiej, by w niej samego malarza ak najmniej czuć było.

ŚLADY ŻYCIA.

XLIII.

Tyle życia ile w c z y n i e.

Cieszcie się wszyscy skazani na odbywanie podróży po naszych bitych drogach! Cieszcie się i wy, którym choć raz w życiu wypadnie odbyć podobną podróż z Warszawy do Lublina lub Radomia! Dzięki panu Rodkiewiczowi drogi te ulegną stosownemu przeobrażeniu za pomocą olbrzymiego walca parowego, który ma służyć do ugniatania i wyrównywania szosowego nasypu na gościńcach. Machinę tę sprowadził p. R. z Rochester w Anglii na własne ryzyko. Jest to jakby mała drogowa lokomotywa o jednem szerokiem kole na przodzie i o dwóch mniejszych z tyłu; ciężar jej równa się 725 pudom a siła, sile 6 koni. Próba dokonana w obec specyjalistów, zadowolniła najsurowsze wymagania, tak dalece, że obecni nietylko przypuszczają iż z wprowadzeniem walca w użycie, nasze dotąd liche drogi dorównają angielskim i francuzkim szosom, ale nawet staną się zdatne do parowej lokomocyi towarowej i osobowej, a lżejsze od walcowej lokomotywy, robiące dwie mile na godzinę, śmiało będą mogły kursować. Jeżeli przewidywania te, może za optymistyczne sprawdzą się choć w części, sprowadzi to ogromny przewrót w naszych środkach komunikacyjnych, który najlepiej wpłynie na ożywienie handlu i przemysłu.

* * *

W dalszym ciągu wydawnictwa „Biblijoteki rzemieślnika polskiego,“ wyszedł obecnie z druku, „Przewodnik dla Szewców!“ Przewodnik przedstawiając zdumiewający rozwój szewctwa francuzkiego w ogóle a paryzkiego w szczególności, poucza że u nas rzemiosło to nie jest jeszcze, jak niektórzy mniemają, na szczeblu doskonałości.

* * *

Dużo wody upłynie, zanim ślady naszego życia zaczną harmonizować z koniecznemi potrzebami naszemi, czego dowodem sprawozdanie o postępie robót przy kolei Nadwiślańskiej. Posłuchajcie: 1) Szyny stalowe wagi 20 funtów na stopę bieżącą walcują fabryki niemieckie Union Bochum i Laurahütte. Fabryka Union podzieliła się zamówieniami z fabrykami: Phönixhütte i Gutehoffnungshütte. 2) Części żelazne mostów obstalowane w fabrykach Caila w Paryżu, Gutehoffnungshütte, Union i Kolońskiej fabryce mostów. 3) Fundamenty filarów mostowych będą zapuszczać Cail z Paryża i Gutehoffnungshütte. 4) Przepływy z żelaza lanego da fabryka Addingtonów w Glasgowie i t. d. Spotkacie tam jeszcze fabrykę Hartmanna z Chemnic (Saksonija), fabrykę Guy Swift and Comp., Froiwirtha z Rygi, Gołubjewa z Petersburga. A gdzież nasz przemysł? Gdzie rezultaty tego postępu którym się chlubimy? Dziwnie ironicznie wyglądają one w obec przytoczonej listy!

* * *

Tanie kuchnie, instytucyja ze wszech miar pożyteczna, znowu wykazuje niedobór 1,500 rs. który zarząd tych kuchen zamierza pokryć dochodem z urządzić się mającego na ten cel koncertu. Bardzo to dobre, ale tylko do czasu. Kuchnie tanie powinny istnieć o własnej sile, ażeby zaś tego dokonać, powinny wydawać dziennie 400 obiadów, tymczasem w ciągu kilku lat *ani razu* nie doszły do tej cyfry, chociaż ze względu na istniejące stosunki dojść były powinny. Systematycznie powtarzający się deficyt, wymaga bliższego rozpatrzenia działalności i ustroju tej instytucyi, o czem robiąc wzmiankę, zastrzegamy sobie głos w przyszłości.

* * *

Że organizm społeczny naszych kulturtregerów, toczy nie jedna ciężka choroba, mówiliśmy nieraz. Nigdy jednak nie przypuszczaliśmy żeby w narodzie bądź co bądź stojącym na wysokim stopniu cywilizacyi, zgnilizna przybierała tak potworne rozmiary. Mogą się o tem nasi czytelnicy przekonać, czytając nadzwyczaj ciekawe „szkice społeczne“ drukujące się w odcinku Gazety Handlowej p. t. Szachrajstwa giełdowe i założycielskie w Berlinie, ale mniejszaby o giełdę i założycieli. Niemoc zaczyna dotykać najszlachetniejsze cząstki germańskiego ciała, bo oto jak donoszą pisma codzienne: „brak nauczycieli na Szląsku pruskim jest niesłychany. W samym obwodzie regencyjnym Opolskim są nie obsadzone 7.913 posady nauczycielskie. Postawmy obok tak bijącego faktu, hałaśliwe założenie uniwersytetu na Bukowinie, a przekonamy się że mądrzy sąsiedzi zaczynają tracić samowiedzę.

* * *

W prywatnem gimnazyjum p. Chotowickiego w Odessie, dozwolone zostały wykłady języka polskiego, literatury i historyi w języku polskim.

* * *

Wkrótce opuści prassę „Kalendarz dla panien,“ zredagowany przez współpracownika naszego p. Antoniego Pileckiego i przeznaczony dla inteligentnych dziewic naszych. Najważniejszy dział tej publikacyi stanowić będą artykuły treści społecznej, opracowane przez pp. D-ra Piotra Chmielowskiego, Jana Jeleńskiego i innych. W sposób popularny poruszone tu będą ważniejsze sprawy, tyczące się wykształcenia, zarobkowania i społecznego stanowiska kobiety. Prócz tego kalendarz zawierać będzie belletrystykę i studyja z dziedziny piśmiennictwa krajowego.

* * *

Studenci wydziału nauk przyrodniczych ukończyli przekład dziełka D-ra Aleksandra Classena p. t. „*Przewodnik dla rozbioru ciał organicznych.*“ Pożyteczna ta ze wszech miar praca, zbogaci cennym nabytkiem ubogie na tem polu piśmiennictwo nasze. Dzieło to opuści prasę prawdopodobnie w końcu przyszłego miesiąca, że zaś liczba egzemplarzy będzie bardzo ograniczoną, interesowani powinni postarać się o jak najrychlejsze nadesłanie prenumeraty, drogą której wydawnictwo będzie uskuteczniane.

* * *

Budowa kolei Nadwiślańskiej faktycznie przekonała, iż kraj nasz posiada w odpowiedniej ilości i jakości materyjały na ten cel, i niepotrzebuje zupełnie uciekać się po takowe za granicę. Odbyte w pracowniach mechanicznych drogi żelaznej Warszawsko-Terespolskiej w obec delegowanych inżynierów drogi Nadwiślańskiej, oraz inżynierów wydziału mechanicznego drogi żelaznej Terespolskiej, próby wytrzymałości cementu wyrabianego w fabryce p. Ciechanowskiego w Grodźcu pod Bendzinem, wydały pomyślne rezultaty i dla tego znalazł cement ten zastosowanie przy budowie drogi Nadwiślańskiej.

Doświadczenia wykonane na drodze Terespolskiej, odbywały się na następnych gatunkach cementu:

część cementu	na części wapna	i część wapna	część cementu	na części wapna	i część wapna
1	2	—	1	5	1
1	$2,_{5}$	—	1	6	1
1	3	—	1	7	$1,_{5}$
1	$3,_{5}$	—	1	8	2
1	3	1	1	9	2
1	4	1			

Przy każdej próbie w trakcie dokonywanych doświadczeń, użyte były dwie cegły położone jedna na drugiej pod kątem prostym, między niemi zaś znajdowała się warstwa cementu. Cegła górna zawieszoną była na dwóch blaszanych wieszadłach, do dolnej zaś przytwierdzoną była szalka, której waga podobnie jak i ciężar dolnej cegły, była dokładnie oznaczoną. W ten sposób poddany próbom cement grodziecki okazał następną spoistość: Powierzchnia spojenia między dwiema cegłami wynosiła $27,_{56}$ cali angielskich, waga szalki $1,_{05}$ puda, waga cegły dolnej $0,_{25}$ puda. Poddane były doświadczeniom N-ra 3, 4, 6 i 11 wedle powyższego wykazu. Okazało się iż przy użyciu cementu Nr. 3 potrzeba było do rozłączenia cegieł $12,_{8}$ pudów; co daje siłę spoistości cementu przy rozerwaniu równającą się $0,_{46}$ puda na jeden cal kwadratowy angielski. Do rozerwania cegieł przy użyciu cementu Nr. 4 potrzeba $10,_{8}$ pudów, spoistość zatem tegoż cementu wynosi $0,_{39}$ pud. na jeden cal kwadratowy angielski. Przy użyciu cementu Nr. 6 ciężar rozrywający wynosił $15,_{3}$ pud., spoistość więc tego cementu przy rozerwaniu równa się $0,_{55}$ pud. na jeden cal kwadratowy angielski. Przy użyciu zaś N-ru 11, ciężar rozrywający wynosił $11,_{8}$ pud. a zatem siła spoistości tego cementu równa się przy rozerwaniu $0,_{42}$ pud. na jeden cal kwadratowy angielski.

Wedle danych przytoczonych w broszurce dołączonej do wyrobów na wystawie Wiedeńskiej 1873 roku, fabryka w Grodźcu wyrabia rocznie trzydzieści tysięcy beczek cementu.

Cztery maszyny parowe o sile ogólnej stu koni parowych, wprawiają w ruch różne przyrządy służące do wyrabiania cementu.

Jednocześnie doświadczaną była także wytrzymałość na zgniecenie opoki białej pochodzącej z Lubelskiego. Próba ta odbywała się za pomocą przyrządu służącego do mierzenia, obciążania resorów. Wycięto z rzeczonej opoki prawidłowy sześcian mający dwa cale angielskie krawędzi; tym sposobem powierzchnia poddana zgnieceniu wynosiła cztery cale kwadratowe. Sześcian ten zgniecionym został przy ciśnieniu czterystu ośmnastu pudów, wytrzymałość więc opoki lubelskiej przy zgnieceniu równa się 79,5 pud. na jeden cal kwadratowy angielski. Poddano również zgnieceniu cegłę mającą powierzchni 8,25 cali angielskich ($3 \times 2{,}75$) która zgniecioną została pod ciśnieniem stupiędziesięciu pudów, czyli 18,1 puda na jeden kwadratowy cal angielski.

* * *

Najjaśniejszy Pan, na najpoddanniejsze przedstawienie zarządzającego Ministerstwem Oświecenia Publicznego, 29 lipca roku bieżącego, Najwyżej zezwolić raczył na odroczenie otwarcia, które miało nastąpić w drugiej połowie sierpnia 1875 roku., piątego zjazdu badaczy przyrody w m. Warszawie, do 15 sierpnia 1876 roku, na proponowanych przez Ministerstwo Oświecenia Publicznego, a rozstrzygniętych i zatwierdzonych przez Jego Cesarską Mość, 4 kwietnia roku bieżącego, podstawach.

Podstawy do urządzenia piątego zjazdu ruskich badaczy przyrody w Warszawie.

Piąty zjazd ruskich badaczy przyrody w Warszawie, ma na celu przyczynienie się do naukowej działalności na polu nauk przyrodniczych, skierowanie tej działalności głównie ku bliższemu zbadaniu Rossyi i ku pożytkowi Rossyi, i dostarczenie ruskim badaczom przyrody, sposobności do osobitszego poznania się pomiędzy sobą.

Zjazd ten znajduje się pod protekcyją Ministra Oświecenia Publicznego, od którego też zależy zatwierdzenie wszystkich projektów co do urządzenia zjazdu.

Ministrowi Oświecenia Publicznego dozwala się poruczyć kuratorowi warszawskiego okręgu naukowego, bliższe rozporządzanie co do urządzenia tego zjazdu.

Członkiem zjazdu może być każdy, kto naukowo zajmuje się przyrodoznawstwem; ale prawo głosu na zjeździe mają tylko uczeni, którzy wydali drukiem samoistne dzieło lub badanie, z nauk tak przyrodniczych jak i innych wymienionych w punkcie 7, oraz nauczyciele tych nauk przy wyższych i średnich zakładach naukowych. Żadne dyplomy nagodność członka zjazdu nie udzielają się.

Wydziały na zjeździe w Warszawie mają być następujące: *a*) anatomii i fizyjologii; *b*) zoologii i anatomii porównawczej; *c*) botaniki, anatomii i fizyjologii roślin; *d*) mineralogii, geologii i paleontologii; *e*) chemii; *f*) fizyki i jeografii fizycznej; *g*) matematyki, mechaniki i astronomii; *h*) technologii i mechaniki praktycznej; *i*) medycyny naukowej; k) antropologii i etnografii. Wydział medycyny naukowej może być, według uznania zjazdu, dzielony na sekcyje. Obrady na posiedzeniach zjazdu mają odbywać się w języku rossyjskim.

Członkowie akademii nauk, wykładający w uniwersytetach i nauczyciele nauk przyrodniczych, pragnący wziąć udział w zjeździe, mogą otrzymywać w tym celu delegacyje na termin od dwóch do czterech tygodni, stosownie do odległości miejsca ich zamieszkania od miasta, w którem odbywa się zjazd.

Zjazd ma być w drugiej połowie sierpnia 1876 roku i trwać nie dłużej nad 10 dni, poczynając od 15 (27) sierpnia a kończąc 24 sierpnia (5 września).

* * *

Instytut Rolniczo-Leśny w Nowej Aleksandryi (w Puławach) udzielił panu *Szczęsnemu Duninowi Borkowskiemu*, medal złoty za rozprawę „O wapieniach formacyi kredowej w miejscowościach: Nowo Aleksandryja (Puławy), Kazimierz i Końsko-wola, ze stanowiska geologicznego i chemicznego.“

BEETHOVEN.

Fantastyczna charakterystyka.

Poświęcona wszystkim miłośnikom muzyki i wielbicielom wielkiego męża,

przez

Ernesta Ortlepp.

Przełożył z niemieckiego

H. B.

(Dalszy ciąg)

III.

Koncert.

Ileż to musiałem się znów nasłuchać niedorzeczności o twojem ostatniem dziele, wielki mistrzu, który mi znów dałeś sposobność przeniesienia się na czas krótki w sfery niebiańskie! O, dla czego musiały upłynąć długie lata, w których twój olbrzymi utwór spoczywał tylko w niemych znakach nutowych, lata, w których nikt nie zapragnął posłuchać z należytą czcią i z zapałem, genijalnego dzieła, jakieś nam w spuściźnie zostawił! O, że też i ja musiałem zapoznać twój śpiew łabędzi! Ależ, *nie znałem* go przecie wcale. To jest do wybaczenia. Powstań z grobu, blady cieniu, i pozwól, że się przyznam do winy i że cię przeproszę. Pozwól, że cię uściskam, za jedną z tych rzadkich szczęśliwych w życiu doczesnem chwil! Wszakże tobie, część ich większą zawdzięczam.

Jak też mogliście mnie tak okłamać, wy, którzy (w części) nazywacie się znawcami; jakże mogłeś nawet *ty* przyjacielu *Wallbornie* wpoić we mnie przekonanie, że Beethoven wziął wszystko satyrycznie, że jego dzieło jest naśmieszką na „odę Schillera,“ że ono wyszło z nienawiści Beethovena ku światu i ludziom, z niechęci nad smutną dolą jego lat ostatnich? Jakże mogłeś mniemać, że głuchota była mu przeszkodą w słyszeniu uchem wewnętrznem; jakże mogłeś utrzymywać, że cała symfonija jest tylko złośliwym figlem albo godnem pożałowania zbłąkaniem? Zaprawdę, tyś mówił nie na seryjo, tyś chciał ze mnie zażartować....

W ogóle, nie dobrze jest iść ślepo za sądem innych, w rzeczach, których się nie słyszało lub nie widziało samemu. Należałoby się raczej z jakie dziesięć lat zastanawiać, zanim potępimy człowieka z genijuszem, gdyż kto tak uczyni w dziesiątym roku, temu może przyjdzie to odwołać w jedenastym.

Jakże inaczej usposobiła mnie już sama *próba symfonii*, przy której byłem obecnym! Jakże silne wrażenie uczynił na mnie nieprzerwany szereg pięknych ustępów, tam, gdziem spodziewał się znaleść karykaturę i niedorzeczność! A cóż dopiero sam *koncert*, gdy jutrzenka stała się dla mnie dniem jasnym!

Ale że też te dwie obok mnie siedzące prześliczne panie, obrały sobie czas trwania symfonii właśnie na rozmowę i na śmieszki! O, to była męczarnia dla przepełnionej uwielbieniem muzykalnej duszy. Jakże musiałem się trzymać, żeby nie wybuchnąć z następującą perorą: „moje wielce szanowne i piękne panie, które mi się bardzo podobacie, ale które ja w tej chwili serdecznie nienawidzę; zdajecie się wcale o tem nie wiedzieć, że teraz grają najpyszniejszą symfoniją Beethovena, chociaż w ręku trzymacie afisze, gdzie to jest wydrukowanem. Jeżeli tak jesteście chciwe gawędy, wygodniej możecie to zrobić w domu, gdzie też należało było zostać; a nawet zrobiłybyście najlepiej, gdybyście się natychmiast do domu udały, do czego ze szczególniejszą przyjemnością ofiarowałbym wam swe ramię.......“ Ale poprzestałem na kilkakrotnem puknięciu nogą i na możliwie dalekiem odsunięciu się od tych nadobnych istot.

Powiedzcie tylko, wy, kochani, prawdziwi, lubownicy i znawcy muzyki, czy nie brała was kiedy chętka schwytania za kołnierz i zrzucenia ze schodów, tych, którzy w sali koncertowej, podczas wykonywania najpiękniejszych ustępów Mozarta i Beethovena, gawędzą w najlepsze, śmieją się albo co jest jeszcze piękniejszem, powtarzają, nucąc, słyszane melodyje? Co począć z nimi?

Oby nam teraz przynajmniej nie popsuli naszego Beethovena.

Wielki potężny duch symfonii był mi już znanym; wiedziałem że tu idzie o *radość istnienia z jej olbrzymim cieniem*: *boleścią*, że idzie o powstanie *światła* z głębokiej, okropnej, rozpaczliwej *nocy*. Widziałem już był te wszystkie straszliwe demony i świetlane postacie. Teraz w uświęconej godzinie, miały one jeszcze raz wystąpić przed oczy mojej duszy.

W bojaźliwie drżącem tempie rozpoczęło się *Allegro ma non troppo un poco maestoso;* drugie skrzypce i wiolonczele zaczęły pianissimo wplatać sextami swe dziwne mruczenie (w kwintach); trąbki, lekko wytrzymywały kwintowy akord; pierwsze skrzypce i altówki, sotto voce, powoli i humorystycznie, przytłumiły kwinty; wszędzie one jeszcze przebłyskują, aż w końcu dochodzi do swych praw oktawa, która w namiętnem unisono, prowadząc do płomiennych *d* moll akordów, pokazuje przestraszonemu oku cały krater wewnętrznej rozpaczy. Teraz znów następuje gra kwint w *d* moll, lecz tym razem oktawa prowadzi unisono do *b* dur. Tym sposobem już jest określoną strona światła i strona cienia symfonii: naprzód *męczarnia*, i zaraz potem heroiczne wzniesienie się po nad nią.

Ale na nowo boleść przemaga.......... Wtem występują dęte instrumenty z ich łagodnemi niebiańskiemi modulacyjami;...... skrzypce, altówki i wiolonczele witają je tkliwą, potęgującą się figurą; następują mocne urwane akordy w *b* dur;... panuje jasna radość, i cała

orkiestra, hucząc żywem unisono, zakończa część pierwszą.

Część druga znów zaczyna się kwintami w *d* moll, i z zadziwiającym effektem przechodzi przez *d* dur do *g* moll. Następują tęskne modulacyje klarynetów, oboi i fagotów, w miękkich tercyjowych passażach: to jest płacząca, głęboko żałośna boleść, wspominająca piękne a niepowrotnie ubiegłe chwile. Teraz idą splecione z głównym tematem passaże w *c* i *g* moll; fagoty, jakby przedrwiwając, powtarzają skarykaturowaną figurę basów; ach! głosy pocieszające, nie dotrzymały tego co obiecały; widzimy jak wszystkie idealne obrazy naszej młodości stały się brzydkiemi poczwarami..... Zapał nasz ustaje.... Człowiek oddaje się boleści, gdy stanął u kresu lat, gdy już nie ma młodości, ni przyjaźni, ni miłości, gdy wszystko, wszystko przepadło, i gdy nic więcej przed sobą nie widzi prócz — otwartego grobu!

Jeżeli uskarżacie się na tę drugą część, to pomyślcie o ostatnich chwilach życia Beethovena. Od lat piętnastu dźwigał on smutny los głuchoty i całą męczarnię artysty, nie osłodzoną nawet należytem uznaniem współczesnych. Wiedeń, był obojętnym dla jego dzieł. Kompozytor tańców może się tam zbogacić, ale prawdziwy genijusz żyje i umiera w rozpaczy..... Pomyślcie o tem, a przebaczycie wielkiemu mistrzowi tonów, chwilową melancholiją;.... wszakże ona jest cieniem, na którego tle, tem jaśniej występują promienie światła.

I cóż mam powiedzieć o *Scherzo, molto vivace?* Jakże ono wre życiem! Czyliż całość nie jest cudną tkanką miłych niespodzianek i zachwycającej genijalności? Od razu czujemy się porwani wirem szalonej, tragikomicznej wesołości. Jeżeli w pierwszej części przeważają bojaźliwe kwinty, tu panują skoczne oktawy. Drugie skrzypce zaczynają temat pianissimo; do nich przyłącza się altówka; basy ją naśladują. Rznięte instrumenty igrają z melodyją; dęte, zrazu się tylko przyglądają, i jedynie w pojedyńczych tonach objawiają swe zadziwienie. Od razu, pierwsze skrzypce, jakby przechodząc mimo, chwytają flet za rękę i wciągają go do szalonego tańca. *Oboje* nie mogą się oprzeć, i po kilku taktach, cała orkiestra idzie za zwodniczym przykładem. Wszystko jest wesołe, płynne, naturalne, przepełnione ruchem i tryskającym dowcipem.

Drugą część rozpoczynają potęgujące się, urwane, przechodnie wybryki; następujące zaś splecenie dwóch *d* durowych tematów i ich wzajemne kokietowanie, należy do najpiękniejszych i najwięcej porywających ustępów, jakie Beethoven w ogóle skomponował.

To żartobliwe kokietowanie instrumentów trwa aż do „coda,“ które Beethoven po swojemu, krótko a genijalnie urywa.

Jeżeli *Scherzo* przedstawia *radość* jako tańczącą, śmiejącą się, żartującą, pieszczącą się, skaczącą, to *Adagio molto e cantabile*, *b* dur i następujące *Andante moderato*, *d* dur, maluje wydobywającą się z głębi duszy cichą szczęśliwość duchową, która już marzy o lepszym bycie, i uwolniona z więzów doczesnej boleści, zupełnie oddała się niczem nie zakłóconemu pokojowi. Tu panuje usposobienie, w którem serce ogarnia niewypowiedziana błogość, tak, iż ono czuje się szczęśliwem bez granic, mogąc napawać się najczystszą, niebiańską rozkoszą.

Kto słyszy po raz pierwszy te potężne dyssonanse t. j. początek („tutti“) ostatniego ustępu, ten niezawodnie pomyśli, że Beethoven zwaryjował. Lecz w jakże innem świetle nam się wszystko przedstawi, gdy zrozumiemy całość, i gdy zestawimy ją z myślą autora. Już smutek był przezwyciężonym przez wesołe *Scherzo* i pogodne *Adagio*, teraz powtórnie i z nową zaciętością występuje nieprzyjaciel, i ufny w swą siłę, ostateczny czyni napad.

— Dokąd ucieknę przed tobą piekielny demonie, który swym ognistym mieczem ciągle wypędzasz mnie z mojego raju? Gdzież znajdę straconą radość?

To mniej więcej chcą wyrazić, jakby szukające czego i wypytujące się basy recitatiwów.

— Czyliż mam udać się w tę stronę?

Ale tam znów grożą niepokojące kwinty.

— Czyliż mam skierować się w tamtą stronę, gdzie tańczą owe pstre postacie?

Ale cóż, kiedy one ulatniają się przedemną; to były tylko zwodnicze cienie.

Słuchaj! Co to za łagodne tony! Czy to jest upragniona radość?

Nie, nie, to nie ona! Pusty odgłos tylko myli me ucho......

I tak szuka i pyta się dalej — aż w końcu recitatyw basów radośnie i heroicznie wpada w *d* dur.

Teraz idzie ustęp, który swemi odcieniami tęsknoty, czułości, wzniosłości i wesołego tryumfu coraz bardziej oplata duszę i poruszyć musi do żywego każde serce: dawno szukana radość nareszcie jest znaleziona!

Był to genijalny pomysł Beethovena, zestawić tu Schillerowską „Odę do radości“ z kościelnym chorałem: „Ciesz się bardzo duszo moja,“ którego echem dźwięczy ostatni przeciągły temat. Najprzód basy przez 24 takty grają temat; wiolonczela z altówką prowadzi melodyją; z niemi łączy się fagot — znowu 24 takty. Potem wpada cała orkiestra, i jeszcze raz powtarza temat przez 24 takty.

Tym sposobem, coraz więcej potęgująca się radość ogarnia naszę całą istotę.

Wprawdzie i tu jeszcze napotykamy dziwne i ponure passaże; ale przezwycięża głos: „O przyjaciele, nie te tony!“ po czem następuje kilka wierszy szyllerowskiego hymnu.

Coś dziwacznego ma w sobie początek *Allegro, assai vivace*, takt $^6/_8$, *b* dur, gdy wielki tambouro, contra fagot i łączący się z niemi klarynet, jedenaście razy odzywają się w samych ćwierciowych nutach; ale ta w wysokim stopniu humorystyczna figura, do której jednak ucho szybko przywyka, ma w sobie zarazem coś heroicznego, wojennego, i tworzy odpowiedni wstęp do słów: „Ciesz się jak bohater.“

Ale po cóż mamy wdawać się w drobnostki przy tym ostatnim ustępie, który co do wzniosłości i piękności, przewyższa wszystko. Dusza słodko kołysaną jest w morzu radości. Zdaje się, że Beethoven, przed rozstaniem się z tym światem, chciał był jeszcze raz wypowiedzieć swoje najpiękniejsze uczucia, dopóki wszystko nie zapadnie się w tryumfującym nawale rozkoszy.

I miałożby to, w swej idei tyle jedności pokazujące dzieło, być niczem innem jak bezbarwnym chaosem? O! wy półtaktowi ludzie, którzy nie umiecie dojrzeć mistrzowskiego planu i jego genijalnego wykonania! O! wy ludzie węgielnicy i kątomiaru, którzy szczycicie się z waszego krótkowidztwa, wy nie jesteście w stanie dostrzedz, że w tej obłoków sięgającej budowie, wszystko jest na swojem miejscu. Dla was łatwo jest powiedzieć, że genijusz zagalopował się w swoim zapędzie!... Naturalnie, jeżeli przypatrujecie się tylko cząstkom tego dzieła, to macie też tylko same odłamki, które pojedyńczo wzięte, zaprawdę dość dziwnie wyglądają. Rozprawiacie o naturalności, prawdzie i prostocie Mozarta, i bez namysłu potępiacie Beethovena, zapominając, że tysiące istnieje odrębności i że każdy oryginalny genijusz na nowo wytwarza sztukę.

Nie przeczę, że natura Beethovena jest inną niż natura Mozarta, a Shakespeara inną niż Goethego; ale to, co Beethoven stworzył, nie mniej jest prawdziwem, gdyż popłynęło z rdzenia jego własnej istoty: wszystko drga życiem duszy i jest wyrazem prawdziwego humoru, który skąpał się w głębinach bytu. Zaiste, ten szczególniejszy, na oddzielnym Parnasie sam sobie żyjący *humor*, który łączy śmiech i płacz, jest duchem ożywiającym symfoniją; jest ona dziełem łez i roskoszy, rozpaczy i radości, ciemności i światła, katuszy piekielnej i niebiańskiego zachwytu, które zaczyna się w *d* moll a kończy w *d* dur. d. n.

Gajowy.

Rysunek pomieszczony na stronicy 645 jest portretem Ignacego Kowalewskiego leśnika czyli gajowego, z majątku Taboryszki w gub. Wileńskiej.

Gajowy, to postać niknąca wraz z żywiołem swym, lasami, które marnujemy jak nieporadny spadkobierca pragnący żyć przejadaniem resztek ojcowizny. Gajowy to nie zwyczajny strażnik lasu, to istota wytworzona wiekową tradycyją, zrośnięta ze swym żywiołem jak góral ze skałami swemi, jak rolnik z glebą, to w prostej linii potomek mieszkańców nieprzejrzanych borów litewskich, co najdłużej zachował w sobie treść życia praojców. Jak dla nich, dla niego lasy są światem całym, światem żywym, jak przyroda dla czcicieli Perkuna. Bo za obrębem borów, łowów, świat nie istnieje dla niego, on tu mistrz, władca tajemnic, czarodziej. Lecz państwo jego opuszcza go: z nieprzebytych ostępów zostają ruiny. Zwierz wypłoszony, wytępiony. Gajowy flintę swą zamienia na laskę do karbowania sągów i belek.

Gdyby kultura rozumna wkroczyła w dziedzinę jego, gdyby widział że ziemia wydarta puszczom, plonuje skrzętnym pracom rolnika, łatwiej by mu pogodzić się z losem i swobodny żywot łowiecki zamienić na miły obowiązek pielęgnowania leśnych porębów, ale widzieć na miejscu starożytnych borów pustkowie pokryte pniami niby mogilnik i myśleć o smutnej przyszłości... Łatwo w obec tego pojąć smutną zadumę wyrytą na twarzy gajowego.

NIE MA TEGO ZŁEGO,
COBY NA DOBRE NIE WYSZŁO.

Przerobione z francuzkiego.

Uchowaj Boże, aby słaba i zupełnie niedołężna dziś pani Hubart, taką i dawniej być miała. Nie, przed wypadkiem który ją przykuł do fotelu (mebel jakiego nie znosiła w swoim gospodarstwie, dopóki tylko mogła się bez niego obejść), pani Hubart była owszem tak ruchliwą i tak energiczną, iż ci co ją bliżej znali, powtarzali ilekroć zgadało się o niej: „Dobry Boże, jak też ta maleńka Hubartowa może wszystkiemu podołać, jak może dać radę gospodarstwu i wychowaniu czwórga dzieci, przy tak zwłaszcza szczupłych funduszach.“ Cała otóż zagadka tego radzenia sobie kryła się w tem, iż pani Hubart posiadała była zdrowie żelazne i żelazną wolę. Kiedy przed dwudziestu laty przybyła do N... gdzie jej mąż był doktorem, zrozumiała od razu iż przyszłość ich obojga od niej w wielkiej części zależy. Doktor Hubart był zdolnym, nie wątpiła o tem, wiedziała że będzie pilnym, sumiennym i zyska sobie obszerną praktykę w mieście; ale zanim to nastąpi, zanim znajdą się chorzy i honoraryja, należy żyć, potrzeba więc iżby jej niewielki posag wystarczył jak najdłużej, bo to jedyne na teraz źródło utrzymania...

Młoda więc ta kobieta, posiadająca wykształcenie pensyjonarskie, jaki taki talent do muzyki i wielką wprawę w hafcie atłaskowym, zabrała się gorliwie do dokończenia swojej edukacyi. Nauczyła się odróżniać wołowinę od baraniny i cielęciny, drób kruchy od twardego, nauczyła się poznawać na pierwszy rzut oka czy ryba świeża lub nie, nauczyła się zamiatać, okurzać, sprzątać, nauczyła się gotować i prać bieliznę, a jeżeli zapomniała potroszę haftu, nauczyła się kroju i szycia sukien damskich a po części nauczyła się nawet radzić sobie z ubraniem męża doktora. A miała przytem talent tak się jakoś urządzać, że czasu jej zawsze starczyło, bo nawet piętnastoletnią swoją służącę potrafiła przyuczyć by pamiętała o świeżym dla siebie fartuszku i przedstawiała się przy otwieraniu drzwi pacyjentom jako pokojówka z porządnego domu. Obok tego wszystkiego pani Hubart miała dosyć czasu i na to, aby odpowiedzieć na wszystkie zaproszenia, (ważnem bowiem było ażeby mąż dał się poznać) a ukazywała się zawsze stosownie ubraną i bardzo była dla każdego uprzejmą.

Taktyka taka wydała, ma się rozumieć, jak najlepszy skutek. Do doktora pociągnęli naprzód pacyjenci biedni, potem zamożniejsi trochę a wreszcie znalazło się kilku wcale bogatych i pani doktorowa mogła sobie powiedzieć pewnego pięknego poranku: „No, teraz to już mam nadzieję że się wygrzebiemy...“ Nie zaprzestała jednakże pomimo to oszczędności, bo jeżeli przybywało pacyjentów, przybywało i dzieci, a przytem tyle nędzy było do koła, iż niepodobna odmówić sobie przyjemności ulżenia jej choć trochę? Żeby więc mężowi i dzieciom jak najwięcej możliwych zapewnić wygód, pani Hubart wszystko w domu robiła sama, nawet i wtedy [illegible] już nie było koniecznem.

Człowiek atoli nie może być doskonałym. Ponieważ pani doktorowa wszystko zawsze sama robiła, przyszła naturalnie nakoniec do tego przekonania, iż nikt jej w niczem zastąpić nie jest zdolnym, a że pracowała za wszystkich i dla wszystkich, przyzwyczaiła też wszystkich do tego wygodnego zwyczaju, iż oglądano się na nią tylko, a oszczędzano siebie jak najtroskliwiej. Jak doktor Hubart tak i wszystko czworo dzieci nie umieli by wziąć sobie chustki od nosa, nie potrafiliby zmienić koszuli lub pończoch, gdyby im tego wszystkiego żona i matka nie podała do ręki. Doktor wychodząc pozostawiał swoje papiery i książki rozrzucone na stole w największym nieładzie, uporządkowanie ich pozostawiając żonie. Najstarszy 18-letni syn Ludwik tak dobrze nie był zdolnym zawiązać sobie krawatu, jak dobrze nie potrafiłby sam wyjechać mili drogi za rogatki. Matka o której mowa, całą duszą oczywiście kochała męża i dzieci, ale nie mogła pojąć iż te jej dzieci rosną przecież z dniem każdym, iż z tych jej dzieci, ludzie być mają przecie, to też często na przechadzce mówiła do wcale już pokaźnego owego najstarszego wyrostka:

— Ludwiczku, za nadto kochanku blisko idziesz po nad wodą; odsuń się trochę, bo możesz wpaść, będzie nieszczęście. Albo:

— Ludwiczku aniołku, chodź tu bliżej do mnie, bo idziesz środkiem a nie uważasz że droga świeżo zwirem wysypana.... albo:

— Niech Ludwinek uważa bo państwo Z... nadchodzą i niech im się ukłoni grzecznie...

Zygmunt dwunastoletni, o którym mówiono że nie dobrą miał pamięć, był to sobie najzwyczajniejszy leniuszek i nie umiałby nigdy lekcyj, gdyby nie ślęczała z nim matka, kując słowo po słowie (nauczyła się dla niego czytać po grecku). Naturalnie że leniwy z natury chłopak, uznał iż daleko jest wygodniej gdy mama odrabia zadania z arytmetyki albo opowiada historyją, aniżeli gdyby miał słuchać w klasie wykładów profesora. To też przy końcu szkolnego roku, na uroczystym akcie zamiast Zygmunta Hubarta, powinni byli raczej przywołać panią Hubartową po odebranie pochwały.

Co do małej Kazi, która zaledwie siódmy rok kończyła, ta na przerozmaite sposoby po całych dniach torturowała mamę a gdy się taż choć na chwilę jednę gdzie oddaliła, Kazia zanosiła się od płaczu, powtarzając:

— Ja nie mogę przeczytać tego sama! Ja nie mogę ubrać sama lalki! Ja się boję wyjść do sali sama. Sukienka mnie uciska a ja jej sobie nie potrafię poprawić sama...

Że cudze widzi się pod lasem a swego nie widzi się pod nosem, starsze rodzeństwo nazywało Kazię panienką *„ja nie mogę,“* chociaż z tego co powiedzieliśmy powyżej, wart był Pac pałaca tak jak pałac Paca. Państwo Hubart mieli drugą jeszcze córkę siedmnastoletnią Emilję która zatem była już w tym wieku, iż mogła wybornie zastąpić we wszystkiem matkę, ale i Emilija przywykła do tego iżby się nią zajmowano, iżby ją wyręczano we wszystkiem; to też ani była zdolną pojąć, iż ona kiedyś może potrzebować zająć się drugiemi. Czytała, haftowała, rysowała, grała na fortepijanie, a że ciągle zajętą była i niepopróżnowała ani chwili, pani Hubart żałowała bardzo iż Emilka chłopcem raczej nie była. Po za tem atoli, Emilka nie była zdatną do niczego, nie była w stanie ugotować kleiku, nie potrafiła zająć się obiadem, nie potrafiła pomódz matce gdy parę osób było w gościnie; musiała się dobrze namęczyć, zanim zdołała przyszyć guziczek do rękawiczki; nie była zdolną zrobić najmniejszego sprawunku i była skłonną wierzyć że spódniczki czyste i pokrochmalone rosną gotowe w szafach, a kołnierzyki przygotowane do włożenia na szyję, rodzą się w szufladach. Jak wszyscy przyzwyczajeni do tego, aby im wszystko gotowe pod nos podstawiono, Emilka dąsała się ogromnie, gdy nie znalazła pod ręką tego, co jej było potrzebnem, ale niech Bóg broni, iżby sama krok jeden zrobić po to miała... „Ja bym się za nic w świecie nie dotknęła palcem ziemi“ odpowiadała z pewną dumą, gdy jej zapytano czy to ona pielęgnuje kwiaty, któremi był przystrojony salon. A gdy znowu odezwał się ktoś półżartem: że ona musiała przyrządzać pieczeń skoro taka wyborna: „Ja nie znoszę zapachów kuchennych,“ odpowiadała kręcąc noskiem „i wcale w kuchni nie bywam.“

Ale dopóty dzban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie...

Pani Hubart dla poratowania zdrowia bawiła była wraz z dziećmi w kąpielach morskich w Ostendzie, razu jednego korzystając z pięknej prawdziwie pogody, postanowiła wraz z dziećmi przejechać się spacerem w okolicę.

Czas spędzono nad wyraz przyjemnie, ale pod wieczór gdy powracać przyszło, zerwała się gwałtowna burza i zaczął padać deszcz ulewny. Pani Hubart lubo sama drżała z zimna, zdjęła szal aby owinąć nim Kazię i uspakajała inne dzieci, gdy w tem nagle gwałtowne wstrząśnienie przerwało jej słowa... konie przestraszone błyskawicą skręciły na bok, pociągnęły za sobą gwałtownie powóz, który też przewrócił się na ziemię. Woźnicy nic się nie stało, powstał, obejrzał konie a przekonany że im się nic złego nie stało, poszedł dopiero na pomoc podróżnym. Dzieci otrzymały małoznaczące kontuzyje, ale matka leżała zemdloną... Deszcz orzeźwił ją i przyszła do siebie, ale kiedy chciała się podnieść nie mogła, bo miała prawą rękę złamaną, nogę zwichniętą i wybite kolano...

Trzeba ją było pozostawić na miejscu, sprowadzić nosze i przenieść do pobliskiej wioski dla opatrunku. Doktor Hubart do którego wysłano umyślnego posłańca, przybył natychmiast i zabrał chorę do domu. Kiedy się zobaczyła w swoim łóżku z rękami i nogami obandażowanemi, kiedy poznała że nie jest zdolną zrobić najmniejszego poruszenia bez cudzej pomocy, kiedy przeczuła że to może potrwać dosyć długo, biedna kobieta zaczęła płakać, a gdy mąż starał się ją pocieszać.

— Ah! odpowiedziała, wiem że niemoc moja na długi czas się zanosi. Biednam ja, biedna, do niczego nie zdolna kobieta. Być obezwładnioną i „do niczego,“ oto największe jakie mogło ją spotkać nieszczęście. Służące wdrożone do porządku, będą jakiś czas spełniać jak należy swoje obowiązki; ale mąż ale dzie-

ci, co się z niemi stanie? Biedna chora widziała już Ludwika jak brudny, obdarty idzie w pantoflach, do liceum, widziała Zygmunta próżnującego od rana do nocy, Emilkę dąsającą się i narzekającą na brak wszystkiego czego jej potrzeba a Kazię płaczącą bez ustanku.

Czy pani Hubart nie myliła się w domysłach?.. Nie myliła się przynajmniej w początkach choroby... Ludwik, rzekłszy prawdę, chodził jak nieboże stworzenie, Zygmunta za niedbalstwo ukarano w szkole, doktor broszury której mu było bardzo potrzeba, szukał przez dwa dni i dwie nocy ale jej nie znalazł, Kazia trapiła wszystkich domowników, a panna Emilija zmuszona radzić z kucharką i wydawać pod rachunkiem bieliznę do prania, miała się za najnieszczęśliwszą pod słońcem i była w strasznym humorze.

Chora desperowała tymczasem i coś jakby lekki jakiś wyrzut zaczynał przebijać się w jej zmartwieniu. „Czyżbym ja ich wszystkich popsuła? pytała samej siebie przerażona. Czyż oszczędzając im kłopotów, działając za nich wszystkich, wyrobiłam ich na brzydkich egoistów! Miałam zawsze spokojne sumienie, myśląc że się sama jedna poświęcam, a czy też przypadkiem nie poświęciłam moich dzieci, które przecie nie zawsze będą mnie przy sobie miały?“ Gryzło to i smuciło poczciwą z kościami kobietę i stan jej pogorszało.

Spróbowała zatrzymać raz Kazię w swoim pokoju i zabawiać opowiadaniem powiastek, spróbowała przytrzymać lewą ręką książkę Zygmunta i nauczyć go lekcyj, ale przytem trzeba było mówić bez ustanku a doktor zabronił tego stanowczo. Nie lękał się bardzo o rezultat choroby swej żony, wierzył że rany muszą się zagoić z czasem, chociaż go niepokoił suchy kaszel jaki się wywiązał w następstwie nieszczęśliwego wypadku. Długie godziny przepędzone na gołej ziemi, na deszczu, w lekkiem odzieniu, spowodowały uporczywy katar i pan Hubart obawiał się iżby płuca przytem nie zostały zaatakowane.

Powiedział o tem Emilii, aby ją skłonić do troskliwego czuwania nad matką i aby tę ostatnią uwolnić od potrzeby ciągłego mówienia.

— Koniecznem jest, dodał, ażeby się matka niczem zgoła nie zajmowała a tymczasem uważam iż troszczy się bardzo o to, czy nam na czem nie zbywa. Czyżbyś ty Emilko nie mogła zastąpić jej w domu i tak pokierować wszystkiem, aby szło jak najlepiej? Wiem że z początku będzie ci trochę trudno, choć nie święci garnki lepią, powiada przysłowie.

Co do mnie, to nie poznaję się w swoim gabinecie; udaję jednak że wszystko w porządku, bo mamy martwić nie wolno.

Wysłuchawszy przemowy ojca, Emilka pożegnała go i następnie udała się powiedzieć dobranoc matce, przy której najęta kobieta czuwać miała noc całą.

— Dobranoc moje dziecię, odpowiedziała jej chora, i skończyła na tem, bo kaszel na więcej nie pozwolił. Emilka pocałowała matkę i wyszła pospiesznie z pokoju, bo łzy cisnęły się jej do oczów a nie chciała aby je chora dojrzała.

— A więc mamie w istocie zagraża niebezpieczeństwo, pomyślała sobie, ale ojciec przecież powiedział że można ją ocalić, byle jej tylko jak największą zapewnić spokojność. Co tu jednak przejść potrzeba, aby dojść do tego! Nadzór nad służbą, prowadzenie domu, korepetycyje z bratem, staranie o ojcu i pielęgnowanie matki, boć z pewnością milszą by jej była pomoc córki, jak zupełnie obcej kobiety. Wszystko to potrzeba wziąć na siebie. Obawa czy obowiązkom podoła, nie pozwalała długo w noc zasnąć dziewczęciu, pomimo to nazajutrz raniutko się zerwała.

— Od czegoż zacząć, zapytała sama siebie. Przedewszystkiem trzeba sprawiać się jak najciszej, bo mama musi spać jeszcze. A gdybym też spróbowała uporządkować w gabinecie ojca?

Poszła tam i na pierwszy rzut oka zrozumiała, iż nic dziwnego że ojciec z niczem tu poznać się nie może.

Zajmująca się sprzątaniem służąca, nie umiała naturalnie czytać, pomięszała więc książki, broszury i gazety tak, iż się z tego wszystkiego istna wieża Babel zrobiła.

Emilka poukładała to wszystko jak należy i zadowolona z dobrego początku, poszła zobaczyć co porabia Zygmunt.

Zygmunt się ubrał, był już umyty, uczesany i wypomadowany nawet, ale skoro go siostra zapytała czy umie lekcyje, skoczył jak oparzony i zawołał: Ah! mój Boże, a toż na śmierć o nich zapomniałem. Toż będę się miał z pyszna, nie wiem co się ze mną dzieje, od czasu jak mama zachorowała.

— Nie ma jeszcze siódmej godziny, weź się tylko od razu a zobaczysz że ci pójdzie wszystko dobrze. Narzekanie nic ci nie pomoże.

— Powiadasz że jeszcze będzie dosyć czasu... nie to niepodobna... Gdyby mama była zdrowa i pomogła... ale ja sam nauczyć się nie potrafię.

— No posłuchaj, dziś ja ci dopomogę, ale nadal sam musisz dawać sobie radę. Mama nie prędko będzie mogła wziąć się do tego a jak będziesz się źle uczył, będzie się martwić i choroba się przeciągnie... No dajże książki.

Lekcyja francuzkiego poszła wcale dobrze, łaciny jako tako, ale kiedy do greczyzny przyszło, Emilka śmiać się zaczęła i oddała mu książkę z powrotem.

— No tego to ja już nie potrafię, rzekła.

— Nie? a jednak to nic tak bardzo trudnego, odpowiedział Zygmunt. Chcesz to cię nauczę... No sylabizuj ze mną, alfa, gama, sigma...

— Naucz się sam lepiej lekcyi, bo mnie wyuczyć trudno ci będzie, a ja pójdę za to zobaczyć czy już śniadanie gotowe.

Po drodze zaszła Emilka do pokoju matki, żeby się dowiedzieć jak noc przepędziła i zarazem żeby jej zdać sprawę ze swych rannych czynności. Biedna chora od czasu jak leżała w łóżku, pierwszy raz uśmiechnęła się dopiero.

Wracając od matki, gosposia nasza na schodach spotkała się z Ludwikiem, który szedł z książkami i teczką pod pachą. Spojrzawszy nań, Emilka głośnym parsknęła śmiechem.

— Zmiłuj się jakże ty wyglądasz?

— Jakto, jak wyglądam, zapytał zdziwiony Ludwik....

— A no, patrzajże, obok najlepszych czarnych spodni masz kurtkę alpagową, starą podartą i w dodatku pobieloną zupełnie; masz koszulę brudną a nie masz wcale krawata. Powiadają że uczeni są roztargnieni; ty zaczynasz być roztargnionym w nadziei że zostaniesz uczonym. Idźże i przebierz się czempredzej, bo cię uliczniki obskoczą i wyśmieją.

— Cóż ty chcesz, odpowiedział zażenowany trochę Ludwik, wziąłem to co znalazłem pod ręką... Od czasu jak mama chora, Bóg wie co się tu dzieje; niczego nie ma, niczego się doprosić nie można.

Emilija chciała mu żywo odpowiedzieć ale się powstrzymała.

W pokoju służących tymczasem mówiono:

— Otóż panna wyszła na panię, mówiła kucharka do pokojówki, to śmieszne doprawdy. Pani bo zna się przynajmniej na gospodarstwie ale panna której noga nigdy tu nie postała, no dopiero to będzie robota.

— A to mała rzecz, odpowiedziała Serafina pokojówka. Panna nie zna się na niczem, to prawda, ale ma dosyć rozsądku, więc się prędko nauczy a z pewnością przyda jej się to z czasem jak wyjdzie za mąż.

— Co to, to prawda, powiedziała udobruchana już nieco kucharka. Młoda pani nie zawsze może znaleść dobrą służącę, i powinnaby zawsze wiedzieć jak co zrobić potrzeba. Chętnie nawet pomogę jej w nauce...

Panna Emilija nie myślała tymczasem o przyszłem swojem gospodarstwie, bo i tak nie mało miała do myślenia. Ażeby wszystkiemu podołać, trzeba się było ogromnie zwijać. Ona co przez całe dotąd życie poruszała się tyle tylko, iżby przejść z salonu w którym stał fortepijan, do sali jadalnej w której miała tekę z rysunkami, a stąd do swojego pokoju w którym pisywała na ładnem bióreczku z różanego drzewa, potrzebowała teraz raźno się kręcić i to przez dzień cały. Żebym tylko nie zachorowała, mówiła po ośmiu dniach pracy, poczuwszy ból we wszystkich kościach. Próżne obawy, ten ból to zwykłe przejście z bezczynności do ruchu i kiedy go przezwyciężyła Emilija była zdrową jak nigdy.

A cóż Zygmunt? cóż Kazia, spytacie. Zygmunt nie raz jeden zaczepiał siostrę aby go uczyła greckiego, ale gdy spostrzegł że się to na nic nie zdało, przyznał iż trzeba się wziąć do siebie, iż trzeba *nabrać pamięci*.

Próba jedna i druga wypadły nad wyraz wszelki korzystnie, a że jedno dobre pociąga za sobą inne, Zygmunt pewnego razu gdy Ludwik także od pewnego czasu więcej już bacący o siebie, tłómaczył mu jakieś zadanie arytmetyczne, uderzył się w czoło i rzekł sobie po cichu: „No byłbym nie wiem czem, gdybym widząc jak wszyscy radzą sobie sami, miał jedynie zostać niedołęgą.“

I zaraz tego samego dnia wieczorem dla przekonania matki iż nie siedział w szkole nadaremno, powtórzył jej całą świeżo wyłożoną lekcyją historyi.

Przeszła nareszcie zima, nastała wiosna. Pani Hubart mogła już poruszać złamaną ręką, ale palce były jeszcze sztywne. Zwichnięta noga była już zdrową, ale w drugiej czuła jeszcze ból bardzo mocny i z tego też powodu chodzić wcale nie mogła. W jakim okropnym stanie musi być nasze gospodarstwo, myślała sobie, gdy ja od sześciu miesięcy niczem się

nie zajmuję. Głośno nie wypowiadała jednak swych obaw, bo nie chciała martwić dzieci, które wiele trudów znosić musiały ażeby ją zastąpić.

Nadszedł nareszcie 1 maja, dzień urodzin pani Hubart i zrobił się ruch niezwykły... dzieci uwijają się i szepcą coś ciągle do siebie...

—Poczciwe dzieciska moje, rzekła, widocznie przygotowywują jakąś niespodziankę. Od pietnastu dni mąż wzbronił mi najmniejszego poruszenia, lubo nie czuję już żadnego bolu, siły mi powracają i na pewno mogłabym chodzić, i on widocznie do jakiegoś spisku z nimi należy.

W tem drzwi się otworzyły na rozcież i ukazał się bukiet z przepysznych kwiatów, trzymany przez małą Kazię.

— Winszuję mamie! zawołała dziewczynka, Winszujemy! powtórzył doktor i z nim starsze dzieci.

— Winszujemy, dodały pokojówka i kucharka.

— No, podnieś się kochana żono, rzekł doktor. Jesteś zupełnie zdrową i możesz obejść dom cały. Ludwik poda ci rękę.

— A jakże prześlicznie wygląda, jakże starannie ubrany i uczesany. To ty pewnie Emilko tak go wystroiłaś na uroczystość dzisiejszą.

— Nie mamo, w początkach twojej choroby pomagałam mu w ubieraniu co prawda, ale teraz Ludwik sam umie sobie dać ze wszystkiem radę. A i matematyka nic na tem nie cierpi, bo jak dawniej tak i obecnie jest jednym z pierwszych uczniów.

Obchodząc dom, pani Hubart nie mogła wyjść z przyjemnego podziwu. Wszystko w największym było porządku, wszędzie ład panował najdoskonalszy... Gospodarstwo domowe nic a nic nie straciło na długiej chorobie pani.

— Jakże ślicznie wyglądają te firanki. Nigdy chyba nie były ani lepiej uprane, ani uprasowane, gdzieżeście taką dobrą wynaleźli praczkę?...

— Dwie to aż praczki kochana mamo, Serafina i ja. Wszyscy zresztą poczęści przyłożyli do tego rękę, bo Ludwik naprzykład pozakładał firanki przy pomocy Zygmunta, no zajdźmy jeszcze do ogrodu...

— A to same niespodzianki, odezwała się uszczęśliwiona matka. Myślałam nieraz i o tem i wyobrażałam sobie, że mój ogród porósł cały zielskiem, bom przypuszczała że zająć się nim nie było komu, skorom ja chora leżała. Czyś ty także była ogrodniczką moja Emilko kochana?

— Ja byłam ogrodniczką, a oni, rzekła, wskazując na Ludwika i Zygmunta, byli ogrodnikami. Niechciałam sprowadzać starego Jana, bo nie lubi fijołków i wyniszcza je nazywając chwastem. Chodźże jeszcze mateczko spocząć trochę w altance, jaką przygotowali dla ciebie.

— Więc znowu mój Ludwik wystąpił tu jako budowniczy, no, no, rzekła wesoło siadając na ławeczce.

— Do usług kochana mamo, zrobiłem plan, obrachowałem wszystko jak należy i ręczę że dach nie spadnie nam na głowę...

— A cóż biedny Zygmunt, odezwała się pani Hubart, pociągając go ku sobie. Zwłoka była bardzo długa, ale odtąd znowu będziemy pracować razem.

— O nie mamusiu, teraz sam sobie radzę i wcale nie chcę cię więcej fatygować, a w dodatku przyrzekam w końcu roku nagrodę, na którą sam już osobiście zasłużę... Cóż ty mi przynosisz, powiedział zwracając mowę do Kazi, która mu coś w rękę wsunęła.

— Kawałek ciasteczka które mi zrobiła Katarzyna z resztek ciasta od placka Emilki.

— Jakto od placka Emilki? Czyby Emilka i kucharką nawet została.

— Chcąc cię naśladować mateczko, potrzeba było umieć robić wszystko tak dobrze jak ty. Chodźmy do obiadu, sprobujemy owego placka i osądzimy jak mi się sztuka udała.

Po obiedzie, który jako na cześć rekonwalescentki był wystawniejszym jak zwykle, zjedzono pasztet który był wyśmienitym i wypito zdrowie matki.

— Nigdy, rzekła pani Hubart, nie byłam tak jak dziś szczęśliwą, i widzę że nieszczęście nieraz wychodzi na dobre. Szczerze też dziękuję Bogu za wypadek z powodu którego poznałam co są warte dzieci moje.

— A kiedy tak dobrze zaczęły, przemówił teraz doktor. pozwól aby i nadal tą samą poszły drogą. Nałóg ociągania się we wszystkiem na ciebie, wykierowałby je był niezawodnie na skończonych niedołęgów.

— Tak, święta to prawda, odpowiedziała pani Hubart mężowi po chwili. Matki bardzo błądzą że nie spostrzegają iż dzieci ich dorastają. Powinnam była od dawna przyuczać was do samodzielności w życiu, bo czego się przyszły człowiek pod domową nie nauczy strzechą, tego później albo nie nauczy się wcale, albo za naukę tę szczęściem całego życia zapłaci.

Miłość macierzyńska, to uczucie wielkie i święte, musi być przecież miarkowane rozumem, jeżeli z rodzinnego gniazda wychodzić mają nie niedołęgi i egoiści, nie chorągiewki stosownie do kierunku wiatru to w tę to w ową chwiejące się stronę, ale dzielni obywatele czy obywatelki, umiejący z jednej strony radzić sobie samym wśród burz i zmiennych okoliczności życia, a z drugiej służyć godnie ziemi i społeczeństwu, na której się zrodzili i w pośród którego żyją.

Przegląd Teatralny.

NIEWINNI,

Dramat w 3 aktach Władysława Okońskiego.

(*Aleksandra Świętochowskiego*).

Jeżeli płód twórczości naukowej lub artystycznej zdoła zwrócić na siebie baczną uwagę ogółu i obudzić różnorodne, często wprost przeciwne sobie sądy, jest to dowodem, że jaśnieje w nim prawdziwa potęga myśli i artyzmu. Lichota przechodzi często bezkarnie, nie ochłostana biczem surowej krytyki. Natomiast wszystko, w czem objawia się potęga twórczości duchowej, zwraca na siebie oczy ogółu, wywołując albo gromy surowego potępienia albo głośny oklask pochwały.

Podobnego losu doznał utwór dramatyczny p. Okońskiego. Sądy o nim redukują się do następującego rezultatu: wszyscy bez wyjątku przyznali mu prawdziwą potęgę artyzmu, lecz co do przewodniej myśli, która się w nim uwydatnia, dwa wprost przeciwne objawiły się sądy. Myśl ta dotąd istniała wyłącznie w sferze zagadek filozoficznych, chociaż niepodobna niedostrzedz ścisłego jej związku z całym obszarem życia indywidualnego i społecznego.

Nauki przyrodnicze, które w postępach swych wyprzedziły znacznie psychiczno-humanitarny zakres badań, przyszły już oddawna do wykazania prawdy, że całą sferą zjawisk natury rządzi wyłącznie ścisła przyczynowość faktów. Z zastosowaniem metody indukcyjnej do badania zjawisk ducha ludzkiego, zaczęto dochodzić do odkrycia tego samego prawa i w świecie psychicznym. Aczkolwiek u najstarszych filozofów napotykamy już pewne w tym względzie napomknienia, lecz dopiero nowe postępy wiedzy, na zasadzie ścisłej obserwacyi i doświadczeń postawiły tę zasadę na piedestale prawd dowiedzionych. Mimo to determinizm znajduje przeciwników pomiędzy kapłanami wiedzy. Najsilniejsze jednakże gromy potępienia wywołuje on z ust ogółu, któremu obce są zupełnie sfery nauki. Do ogółu tego zaliczamy i całą czeredę krytyków literackich. Panowie ci robią alarm wielki w naiwnem przekonaniu, jakoby owa zasada obalała cały dotychczasowy gmach ustroju społecznego, zaprzeczając najwznioślejszym i najutylitarniejszym normom życia. Pomijając już fałszywość tego mniemania, zwracamy tylko uwagę na ten fakt, że szanowni krytycy stają na gruncie przeciwnym zasadom badania naukowego, uniemożebniając tym sposobem wszelką walkę przekonań. Prawdę opartą na faktach tylko faktami zwalczyć można. Tymczasem panowie ci zadawalniają się pobożnem westchnieniem, szumną deklamacyją, lub produkcyją efemerycznych myślątek.

Zrobiwszy tę krótką wzmiankę o przewodniej myśli, która przyświeca sytuacyjom życiowym, uwydatnionym w utworze p. Okońskiego, przechodzimy do bliższego poznajomienia czytelników z temi ostatniemi.

Mamy tu znane powszechnie objawy życia. Ale w jakżeż odmiennem świetle przedstawiają się one w obec zasady determinizmu psychicznego. Autor spogląda na nie oczyma głębokiego myśliciela, wprowadzając nas w sferę jednej z najdonioślejszych zagadek życia. W szeregu zjawisk psychiczno-życiowych widzimy ucieleśnienie przewodniej myśli jego utworu. Wszędzie widnieje ścisła zależność czyli przyczynowość faktów, potężna walka popędów. Bohaterowie tego dramatu posiadają pewien ustrój duchowy, wytworzony przez szereg poprzedzających faktów psychicznych, i działając pod wpływem tego ustroju, ulegają nieprzepartym jego popędom. Autor dla poparcia tezy swojej, bierze nie aniołów bezwzględnej cnoty, ani też czarnych szatanów występku, ale zwyczajnych śmiertelników, duchowość których przedstawia różnorodny stosunek dodatnich i ujemnych popędów, wypływających z ich ustroju moralnego. Główny bohater utworu, Bolesław, jest postacią przeważnie dodatnią, pełną szlachetnych instynktów i wrzących pragnień młodzieńczej

duszy. Lecz w duchowości jego pozostała jedna cegiełka należycie nieumocowana. Cegiełka ta spowodowała pewien upadek moralny. Bolesław zdradza swoję żonę, idąc za popędem nieugruntowanych w tym kierunku zasad moralnych. Przewinienie to sprowadza dramatyczną katastrofę. Opuszczony przez małżonkę, nieszczęsny bohater nasz wpada w przepaść rozpaczy; ale na gruzach złamanego ducha świta jasny blask odrodzenia. A cały ten proces psychiczny jest szeregiem ściśle powiązanych z sobą zjawisk duchowych. Wszystko tu wynika z tak żelaznej konsekwencyi, że mimowoli zawołać musimy: „inaczej być nie mogło!“

Drugą postacią, która bardziej jeszcze idzie na oślep za popędem duchowych instynktów swoich, jest młoda dziewczyna Julija. Autor w szkicowych, ale dosadnych rysach przedstawia tu nam jedn ę z owych często napotykanych w życiu postaci kobiecych, w których serce bierze przewagę nad rozumem i zagłusza wszelkie jego rozkazy. Julija rzuca się w objęcia ukochanego, niepomna, że wdzierając się do rodzinnego ogniska, rozrywa jasną nić szczęścia dwojga małżonków. Ale czyż jej to wina? czyż duchowy jest ustrój niepchał jej mimo woli na tę drogę? czyż zdolną ona była wezwać pomocy rozsądku i moralnych popędów, które upadły w walce z nieprzepartą potęgą psychiczną? Nieszczęśliwa, odtrącona na zawsze od ukochanej istoty, z której piersi tylko czerpać mogła siły do życia, własną dłonią przerywa pasmo dni jego. Widzimy tu również żelazną konsekwencyją faktów. Inaczej być nie mogło!

Mniej dosadnie skreśloną jest postać młodego donżuana Alfreda. W duchowości jego widocznym jest pewien cynizm moralny. Ma on zresztą swoję filozofiją życia, swoje popędy i instynkta, których władzy ulega niewolniczo. W duchowości jego nie odgrywa się żadna prawie walka moralna, i w ogóle jest to drugorzędna postać dramatu, służąca głównie za sprężynę akcyi i uzupełnienie obrazu życia, jaki kreśli nam autor.

Wybitną za to postacią jest żona Bolesława, Zofija. Widzimy tu duchowość, pełną najszlachetniejszych popędów moralnych; przecudny kwiat, wychodowany pod umiejętnem kierownictwem zacnego ojca. Ale kwiat ten od najpierwszych dni życia oddychał najsurowszą atmosferą przekonań, która wytworzyła zeń fanatyczkę moralną. Zofija nie zna owej filozofii życia, co widząc nieprzeparty determinizm jego zjawisk, każe przebaczać mniejsze zboczenia, szczególniej w obec blasku odrodzin duchowych. Bohaterka nasza chciałaby widzieć w ludziach bezwzględną cnotę, nie pojmuje ich natury, nie wie, że najczystsza szata niewinności musi się niekiedy w kale ziemi zawalać. Dopiero przy końcu roztwiera się przed jej duszą nieznana zagadka życia, zdziera z jej oczu zasłonę ułudy, zrywa ze zbolałej skroni kwiaty marzeń, i odkrywa nagą rzeczywistość. Zofija nauczyła się przebaczać!

Najgłówniejszą sprężyną akcyi jest świetna postać starego Dobrycza, ojca Zofii. Człowiek ten na drodze smutnych doświadczeń odgadł główną zagadkę życia i poznał naturę ludzką. Cały ciąg dramatu nie odznacza się wprawdzie ożywioną akcyją sceniczną i grzeszy przydługiemi niekiedy dyjalogami, lecz za to bogaty w świetną akcyją psychiczną, ze znakomitym artyzmem i żelazną konsekwencyją przeprowadza przewodnią myśl swoję. Nieporównana prawda życiowa nadaje mu również doniosłe znaczenie. Pod względem akcyi scenicznej najlepiej przedstawia się akt pierwszy, ale za to dwa następne stanowią cały szereg głębokich prawd psychiczno-życiowych, przez życie samo uwydatnionych. Smutna katastrofa, wynikająca z jednej strony z nieprzepartych popędów ustroju duchowego, a z drugiej, ze zbyt surowego zapatrywania się na winę przestępcy bohatera utworu; następnie cały ciąg procesów psychicznych, a wreszcie zakończenie samo, które zrywa zasłonę ułudy, z głęboką filozofiją odkrywając rzeczywistą prawdę życiową; oto świetna i oryginalna treść utworu, który stanowić będzie jeden z najcenniejszych skarbów piśmiennictwa naszego; tem doniośléjszy, że głęboką prawdę filozoficzną ucieleśnia w zjawiskach życia.

Wspominając o zaletach utworu, nie możemy pominąć języka jędrnego, obrazowego, a niekiedy i wysoce poetycznego.

Co się tyczy wykonania, to największe uznanie należy się pani *Modrzejewskiej* (Zofija), w grze której obok głębokiego pojęcia roli, uwydatniały się niekiedy świetne błyski intuicyi artystycznej. Wszelkie odcienia walki psychicznej oddane były z głęboką prawdą i nieporównanym artyzmem.

Gra p. *Leszczyńskiego* w roli Bolesława, aczkolwiek trochę nierówna i nieharmonijna, w bardziej dramatycznych sytuacyjach była prawdziwie porywającą.

Panna *Popiel*, jako Julija, niestety, z przykrością powiedzieć musimy, nie zdołała dostroić się do wysokości dramatycznego charakteru swojej roli. W akcie pierwszym w chwili gwałtownego porywu miłosnego szału, było wiele chwil szczęśliwych, ale za to w następnym, wykonanie było tak słabe, że psuło cały efekt sytuacyi. Szczególniej chwila, kiedy Julija z goryczą pyta się Zofii: „Com ja ci, pani, zawiniła?!“ bardzo daleką była od właściwego sobie nastroju.

Panowie *Rapacki* rolę starego Dobrycza i *Tatarkiewicz*, Alfreda wykonali bez zarzutu.

Ant. Pilecki.

GOSPODARSTWO
i PRZEMYSŁ DOMOWY.

Przechowanie jarzyn w porze zimowej. Na przechowanie jarzyn należy wybrać piwnicę widną, przewiewną, której otwory lub okna należy pozostawić otworem aż do zimy, ale za pierwszym mrozem, założyć je słomiastym nawozem. W samej piwnicy usypać jeden lub dwa zagony z dobrej ogrodowej ziemi, lub ostrego piasku na pół łokcia wysokości. W te zagony sadzić wyrwane z gruntu z korzeniami *kalafiory, selery i pietruszkę*, po obraniu ich z liścia wierzchniego i łodyg. W ten sposób sadzi się i *włoska kapusta*, która nietylko doskonale się przechowuje, ale nawet jest daleko delikatniejszą niż z gruntu. Wielkie i piękne korzenie *cykoryi* dostają na tych zagonach liści bardzo smacznych i zdrowych na sałatę. *Jarmuż* przechowany w ten sposób wybornie się utrzymuje przez całą zimę. Jarzyny zebrane w czasie suchego lata, mniej podlegają zgniliźnie, niż w czasie wilgotnego roku. Co ośm dni należy podlewać letniawą wodą tę grzędę, jak tylko wyschnie.

Marchew, obrawszy z liści i łodyg, należy ułożyć w piwnicy na suchem miejscu, i w jedną warstwę, nie przesypując piaskiem, jak to wielu czynić zwykło, gdyż od tego dostaje rdzy, traci słodycz, a następnie gnije.

Kartofle najlepiej się przechowują w beczkach, przesypane suchym piaskiem, i ustawione na legarach w suchem miejscu w piwnicy. Tak przechowywane nabierają mączystości, a nawet iłowate poprawiają smak.

Schab wieprzowy z powidłami. Rąbie się schab w kawałki, gotuje w zasolonej wodzie, poczem studzi go się trochę, osypuje grubo tartą bułeczką i opieka na blasze wysmarowanej zarumienionem masłem. Następnie bierze się sporą łyżkę powideł, rozprowadza je rosołem lub wodą, dokłada się parę kawałków cukru, trochę cynamonu, goździków i cytrynowej skórki, i po przegotowaniu tego razem, zalewa się schab obrumieniony.

Lekarstwo na odzięblenie. Ze wszystkich dotąd podawanych środków leczniczych, przeciw odzięblieniu rąk lub nóg, które z nadchodzącą porą chłodniejszą poczynają swędzić a później puchnąć, najpraktyczniejszym okazał się kolodyjon zajodowany, używany przez fotografów, a im więcej ukwasorodniony czyli do użytku fotografii nieprzydatny, tym na odzięblieliznę skuteczniejszy. Rzeczonym kolodyjonem smaruje się odmrożone ręce lub nogi, a w ciągu najdalej paru tygodni odzięblizna zupełnie ustępuje, byle tylko rąk w tym czasie nie myć wodą zwyczajną, ale ordynarną wódką lub wodą kolońską.

Kit na zimę do okien. W równych częściach wziąć piasku dobrze wysuszonego, popiołu i mąki rżanej, zarobić wrzącą wodą na ciasto i pokitować nim szpary u okien, a gdy zaschnie, trzyma szczelnie nie dopuszczając zimna z zewnątrz. W miejsce popiołu można użyć mielonej kredy lub gipsu.

Kit do zalepiania szpar pieca. Glinę zwyczajną urobić ze słoną wodą i dodać do niej nieco popiołu, tę zaś mieszaninę połączyć z jedną czwartą częścią klajstru zwyczajnego z mąki. To wszystko wyrobić dobrze na ciasto, pozalepiać rozpadliny pieca, a najsilniejsze ciepło nie zniszczy tej mięszaniny, nie będzie się ona rozpadać i odskakiwać. Jeszcze silniejszy kit otrzymuje się z opiłków żelaznych, szkła umielonego i utartego wapna niegaszonego, które przesiawszy przez sito należy zarobić krwią bydlęcą. Kit ten jednakże potrzeba natychmiast po zarobieniu jak najspiesz niej zużyć, gdyż wkrótce twardnieje i urabiać się nie daje.

ROZMAITOŚCI.

Fabryka zapałek w Rzucowie pod Szydłowcem, w gub. Radomskiej założona w 1868 roku, rozwija się ciągle i obecnie zajmuje około 60 robotników i robotnic, nie rachując tych, którym powierzają się roboty introligatorskie wykonywane w domu, a jakiemi zatrudnia się do 40 kobiet z Szydłowca i okolic. Fabrykacyja zapałek uważaną jest za jedną z najniezdrowszych robót z powodu zapachu siarki działającej szkodliwie na płuca i kwasu fosfornego wydzielającego się przy gorącej masie, w której maczają się patyczki. O ile możności zapobieżono temu w fabryce rzucowskiej, przestrzenią budynku i systemem wentylacyjnym. Ogół robotników przysposabiających zapałki w Rzucowie, nie ciągnie stąd jedynego utrzymania, jest to dla nich przemysł pomocniczy; nie jest też to ludność fabryczna, ale córki górników lub dziewczęta ze wsi i miasteczek okolicznych, przychodzą one do fabryki według woli i możności, płatne są od tysiąca wyrobionych zapałek, a w czasie robót w polu powracają zwykle do swoich zatrudnień. Robotnice przy wielkiej pilności i wprawie, zarobić mogą od 25 kop. do 45 kop. dziennie. Na drewienka do zapałek wychodzi 300 sążni drzewa rocznie, a 100 sążni na opalenie fabryki, suszarni i przygotowanie masy zapałkowej.

Gatunki zapałek fabryka Rzuców wyrabia najrozmaitsze, zacząwszy od zupełnie prostych, do najwykwintniejszych, zamkniętych w ozdobnych pudełkach.

—Wychowaniec warszawskiego uniwersytetu p. Władysław Smoleński przygotował do druku pracę historyczną p. t. „Stan i sprawa żydów polskich w XVIII wieku.“ Pan S. gromadzi podobno od lat kilku materyjały do dziejów drobnej szlachty mazurskiej i posiada gotowy przekład topograficznego opisu Mazowsza, twórcą którego jest Andrzej Święcicki, pisarz łaciński z XVII stulecia.

— Lista młodzieży kształcącej się w warszawskich rządowych zakładach naukowych, we wrześniu roku bież. wynosiła: uniwersytet tutejszy liczył 680 studentów, jednocześnie zaś było w gimnazyjach męzkich: w 1-em uczniów 356, w 2 444, w 3-em 509, w 4-em 353, w 5-em 288, i w 6-em wychowańców 239. W progimnazyjach zaś uczyło się w 1-em wychowańców 184, a w 2-em 201. W szkole realnej 363, a w trzyklasowej szkole miejskiej w sześciu oddziałach 204. Z ogólnej liczby 2,574 uczniów w sześciu gimnazyjach, 513 uczniów t. j. około 20% było w czterech wyższych klasach, a reszta t. j. 2,061 w czterech niższych i przygotowawczych klasach. Drugie oddziały, otwarte zostały w gimnazyjach: pierwszem w klasach 1-ej i 2-giej po trzy oddziały, a 3-ej i 4-ej po dwa — w czwartem, w 1-ej i w szóstem w 1-ej. W progimnazyjach nie ma drugich oddziałów. Największą liczbę uczniów ma 3-cie gimnazyjum, a najmniejszą dawne niemieckie, dziś nazwane szóstem. Najliczniejsze są klasy przygotowawcze. W ósmej klasie we wszystkich gimnazyjach jest uczniów 68. W szkole realnej, w pierwszych czterech klasach, liczba uczniów, znacznie przewyższa normalną cyfrę, w klasach zaś 5-ej i 6-ej jest ich w oddziale matematycznym 77 i w oddziale handlowym 70, w 7-ej zaś klasie pozostałych z dawnego gimnazyjum realnego uczniów 23. W szkole miejskiej trzechklasowej w dwóch oddziałach pierwszej klasy jest uczniów 112, w dwóch oddziałach klasy drugiej 75, i w dwóch oddziałach klassy trzeciej 17.

— W zimowem półroczu zeszł. roku było w uniwersytecie Jagiellońskim słuchaczów zapisanych na wykłady 595, a w półroczu letniem 548. W ogóle w nowszych czasach liczba uczniów uniw. krak. nieprzechodziła 600. Profesorów zwyczajnych i nadzwyczajnych, docentów, sapientów, asystentów, adjunktów posiada uniwersytet krakowski przeszło 80; włączając zaś kancelaryję senacką i emerytów profesorów, około 100 osób.

— Dzienniki czeskie zamieściły odpowiedź Garibaldego wysłaną z Caprery d. 8 września, jako odpowiedź na adres złożony mu od powstańców hercegowińskich.

„Precz z Turkami do Brussy! woła oswobodziciel Italii, wypędzić ich do Azyi, skąd przybyli, gdyż dopóki będą z tej strony Bosforu, póty będą ciemiężyć Słowian. Powstańcie więc mieszkańcy Bulgaryi, Serbii, Czarnogórza, Albanii, dawniejsze Traki i Macedony z Epiru i Tessalii, walczcie mężnie z Turkami. Bądźcie pewni że po waszej są stronie wszyscy przyjaciele prawdy i wolności w całej Europie. Pamiętajcie że z pośród was wyszli Aleksander, Leonidas, Spartakus i Skanderbeg. Okażcie się ich godnemi, śpiesząc do boju w obronie świętych praw.“

Podług wiadomości przez też pisma podawanych, krwawe utarczki nie tylko nie ustają, ale owszem wbrew wieściom rozpuszczonym ze strony tureckiej, powstanie wzmaga się ciągle i na pewno zdoła się przez całą zimę utrzymać. Składki z różnych okolic Czech nadsyłane, wynoszą dotąd przeszło 3,000 złr., a prawdopodobnie dojdą nierównie większych rozmiarów.

— W Krakowie, dnia 11 b. m. odbyło się posiedzenie wydziału filologicznego akademii umiejętności, na którem sekretarz akademii Szujski złożył nadesłane wydziałowi prace, jako to: prof. Ogonowskiego: „O przyimkach w języku starosławiańskim, ruskim i polskim;“ prof. gimn. w Drohobyczu Parylaka, dwie prace: „Dalszy ciąg idiotyzmów mowy polskiej w Drohobyczu i jego okolicy.“ tudzież „Mieszaniny językowe podane komissyi językowej.“ Następnie sekretarz akademii oddał list p. Zyg. Glogera i złożył pracę jego: „Nazwy weselne, wyrażenia i przedmioty używane przy godowych obrzędach ludu na przestrzeni byłej Rzeczypospolitéj.“ Poczem przedstawiono dwie prace p. Aleksandra Weinerta: „O bractwach literackich w Polsce od od roku 1334.“ i „O założeniu pierwszej biblijoteki publicznej w Warszawie r. 1598.“ Pierwszą pracę odstąpiono wydziałowi historycznemu. Złożono następnie pracę członka dra Węclewskiego: „Wiadomość o życiu i pismach Gon. Grodka;“ odczytano recenzyję prof. dra Brandowskiego o pracy p. Bron. Kruczkiewicza: „O filozofii Seneki;“ nakoniec członek akad. prof. Łuczkiewicz przedstawił plany i rysunki kościoła w Kościelcu, które zdjął jako piękny zabytek początku trzynastego stulecia.

— Na posiedzeniu wydziału historyczno-filozoficznego akademii d. 13 b. m., przedstawiono prace następujące: dr. Sokołowskiego „Elekcya czeska po śmierci Zygmunta Luksemburczyka;“ A. H. Kirkora „Pokucie pod względem archeologicznym;“ Grajnerta „Świat podaniowy;“ X. Szpota „Dzieje bezkrólewia po Janie III-cim,“ oraz cały szereg prac p. Domicyana Mieczkowskiego o Sobieskim, Leszczyńskim i Kościuszce.

— Żona księcia serbskiego Milana, księżna Natalija, jest jedną z najpiękniejszych kobiet w Europie. Powiedzieć o niej można to, co mówiono o księżnej Belgioso kiedyś, iż pochodzi ona od bogiń partenońskich. Oczy ma wschodnie, długie czarne włosy, i dumę właściwą swemu rodowi. Niewiele kobiet dorównać jej może pod względem braku wszelkiej zalotności. Nigdy nie nosiła klejnotów, nigdy najcieńsza warstwa pudru nie pokrywała jej twarzy, nigdy włos fałszywy nie zamieszał się do jej bujnych splotów. Na czoło jej spływają małe zwoje naturalnie kręcących się włosów, ciemne zaś warkocze ułożone są z wielką prostotą na wierzchu głowy. Przybywszy do Paryża dla zrobienia wyprawy, księżniczka poleciła, aby prócz koronek, nie dodawano żadnych innych ozdób do jej sukni.

— Zbiór fotografii wszystkich ministrów sprawiedliwości i dyrektotów, począwszy od r. 1803, złożony z 18 portretów przygotowuje się w zakładzie pana Mieczkowskiego. Szereg zaczyna Józef Wybicki, powołany do zarządu Wydziałem Sprawiedliwości, przez komissyę rządzącą przed utworzeniem księstwa Warszawskiego, dalej idą: Feliks hrabia Łubieński z r. 1807; Tomasz Wawrzecki r. 1813, Walenty hrabia Sobolewski, r. 1816; Franciszek Węgliński, r. 1819; Marcin Badeni, r. 1820; Michał Woźnicki, 1824; Ignacy hrabia Sobolewski, 1825; jenerał Ksawery Kosecki, 1831; Antoni Wyczechowski, 1843; Onufry Wyczechowski, 1844; Fryderyk Skarbek, 1854; Franciszek Drzewiecki, 1858; Jan Kanty Wołowski, 1861; Aleksander margrabia Wielopolski, 1861; kasztelan Leon Dębowski; Teodor Wosiński 1862; i wreszcie obecny dyrektor główny Małkowski.

Jeżeli się nie mylimy, to przy znoszeniu Komissyi Rządowej Spraw Wewnętrznych, oraz Komissyi Rządowej Przychodów i Skarbu, zebrano również fotografije wszystkich ministrów i dyrektorów głównych prezydujących w obu tych wydziałach.

— „Russki mir“ donosi, że niejaki Ławrentiew ślusarz w profesyi wynalazł nową maszynę do szycia, ręczną, odznaczającą się małemi rozmiarami i taniością. Maszyna ta, nazwana przez wynalazcę „samoszyjąca“ ma kosztować w handlu najwyżej 5 rubli. Ławrentiew stara się o uzyskanie na swój pomysł patentu i następnie ma zamiar otworzyć fabrykę swoich maszyn, które tym sposobem zrobią niezmierną konkurencyję wszystkim dotychczasowym zagranicznym maszynom do szycia.

— „Nowoje wremia“ podaje wiadomość, że z inicyatywy kilku dam z wyższych sfer towarzyskich Petersburga, powstał zamiar urządzenia przytułku dla małoletnich przestępczyń, które odsiedziały już czas kary w zakładach karnych. W tej nowej filantropijnej instytucyi, między innemi urządzone będą warsztaty rzemieślnicze w których wychowanice kształcić się będą w rozmaitych rzemiosłach pod kierunkiem obznajmionych z rozmaitemi rękodziełami nauczycielek.

—Gazeta Petersburgska „Gołos“ donosi że teatr warszawski ma na rok przyszły 1876 zapewnioną zapomogę od rządu w kwocie rs. 60,000. W obec więc zapomóg takich, w obec faktu że od wszelkiego rodzaju widowisk przebywających czasowo w Warszawie, teatr ten pewien i stosunkowo dosyć nawet znaczny pobiera procent, zamierzona podwyżka ceny miejsc w teatrze wielkim i w teatrze rozmaitości, nie koniecznie pożądaną jest nowiną. Teatr nie wyłącznie dla samych tylko „możnych“ dostępnym być powinien.

Дозволено Цензурою. Варшава 16 (28) Октября 1875 г. W drukarni J. Korzeniewskiego.— Warszawa, St.-Jerska, Nr. 1769a (12 nowy).

Wydawca J. Korzeniewski. Redaktor Henryk Perzyński.